


L/546

Title-page lacking

Konopnicka, Maria
"

POEZYE
w nowym układzie.

II

WSTĘP

Kocham Cię nad
Życie, radbym Ciebie
Pojąć na całe życie
Wpisał
Pius II W.



Za ostatnim poetą zamknęła się brama.
Trudno się skarżyć; cześć im oddali ziomkowie.
Charmides, z wieńcem lauru na wzniesionej głowie
I w płaszczu purpurowym, wyglądał, jak drama,
Z wlokącym się poza nią długim epilogiem.
Menander także w wieńcu, który mu na czoło
Dali ateńscy męże, piał pieśnię wesołą,
Jakby mu Dionizos bratem był — nie bogiem;
A wiedząc, że się sława rychło zmienia w marę,
Niósł z niedbalstwem wspaniałem pełną wina czarę,
By pić zdrowie ojczyzny — za ojczyzny progiem.
Euthydem niósł lirę, brząkając w nią z cicha,
A pierś jego wezbrana, co smutkiem oddycha,
Tak pełna jest tęsknoty — i łez — i zadumy,
Że za każdem ust tchnieniem unoszą się tłumy
Mar powiewnych, przejrzystych, i wiązanką płową,
Jako wieniec róż bladych, lecą mu nad głową.
Philebus, z olimpijskim spokojem na twarzy,
Szedł jak mąż, który dźwiga na barkach Hezjoda;
A za nim w niewidzialnej postępują straży:
Kunsztowna antistrofa, rzeźbiona epoda,

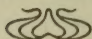
I orzeł zeusowy nad głową się waży,
I otacza go grecki błękit i pogoda.
Timaeus kroczył blady, obuty w koturny,
Niosąc z dzieł swych tragicznych popiołów dwie
A gałąź cyprysowa, owinięta kołem, [urny;
Zdawała się ze zgrozy wstawać mu nad czołem...
Milczał; jeśli wychodząc nie rzucał przekleństwa
Na miasto obłąkane i pełne szaleństwa,
To jedynie dlatego by ziemia pobladła,
Nim on przestąpi bramę, w przepaść nie zapadła.
Dajmon zamykał pochód i wybuchem śmiechu
Żegnał Ateny, pieśń swą przekazując echu...
I zaraz też podgórza dzieliły się wiernie
Spadkiem poety, rapsod skandując misternie,
Coraz to przeźroczyściej, coraz ciszej... ciszej...
Tak, że ostatnie dźwięki Zeus ledwo słyszy. —

Plato odetchnął. Odtąd poezya zdradziecka
Umysłów wytrzeźwionych oczadzać nie będzie,
I żadna już od pieśni nie zadrży pierś grecka...
Ostatnią lirę, w kącie rzuconą na śmiecie,
Po jakimś zapomnianym włóczędze — poecie,
Strzaskano, jak bezbożne, przeklęte narzędzie.
Pierzchły już bezcielesne, urojone mary,
Których nikt nie przykroi do rozsądnej miary...
Odtąd mieszkańcy miasta, stojąc na swych progach,
O tem, co rzeczywiste, radzić będą zimnie,

I nikt, przy jakimś grzmiącym, pełnym ułud hymnie,
Nie będzie roił baśni o chwale i bogach.
Epos przestanie kłamać i drażnić umysły;
Na wzruszenia jest wymiar ogólny i ścisły,
I nikt pod wpływem pieśni, omamiony słuchem,
Nie będzie śnił, że leci nad światy gdzieś duchem...
Ludzkość, wolna od rodu wieszczów i rapsodów,
Przestanie pragnąć zdrojów żywych i ogrodów,
I nie będzie roiła o cudach dziwacznie,
I na byt swój powszedni trzeźwo baczyć zacznie.
Cóż jest pieśń? dźwięk słów pusty, jako wiatru
[szelest.
Poezya najpiękniejsza jeszcze prawdą nie jest,
I, jako płonne zielska, po drogach zarasta...
Lecz dziś wszystkie wyrwano! Poza bramy miasta
Odprowadzono wieszczów z wieńcami na czole
I przed poezyą wrota do Aten zaparto.
— Tak dumał prawodawca.

Cóżto za pacholę,
Z głową wzniesioną w niebo, źrenicą rozwartą
Szeroko, patrząc w błękit ten, czysty jak fala
Egejska, gdy w niej jutrznia łuny swe rozpala,
Stoi w cichym zachwycie? Nad niem szumią drzewa,
Ptak wędrowny skrzydłami bije i pieśń śpiewa,
Olimp w mgłach gubi czoło, jak senny atleta...
Echo pieśni Homera w błękitach gdzieś kona,

A wokoło powstają bohaterów cienie
I ojcowie o wielkiem sercu idą smutni...
Zadumanemu chłopcu pierś chwyciło drżenie;
Spłonął i wyciągając młodzieńcze ramiona,
Głosem czystym, jak kryształ, wołał: »lutni... lutni...«
— Jakto? wielcy bogowie! — czyż znowu poeta!?



I

HELENICA

HELIOS

Nad młodą ziemią Helios wstał,
Ogniste rozwiał włosy,
W Egejską czarę złoto lał,
Na Pelion sypał rosy.

Egejska czara pełna wód,
Stu wysep łono trąca,
Stu wysep Helios zbudził lud,
Nim wyschła rosa drżąca.

I powstał lud, i w światła zdrój
Obrócił twarz młodzieńczą,
A był z tych, co gdy idą w bój,
To hełmy mirtem wieńczą.

I z tych był, którym w ręku miecz
W jasny się piorun zmienia,
I których stopa wprzód i wstecz
Odciska ślad istnienia.

I z tych był, których lutni dźwięk,
Wiosenną ma pogodę,

I nie zna co jest płacz, co jęk,
I życie śpiewa młode.

I stało piękno, jako bóg,
Nad jego ziemią błogą,
I chodził w świat i wracał w próg
Ozutą kwieciem nogą.

I w blaski słońca podniósł gród,
Pod którym wzgórza klęczą,
I stała mądrość mu u wrót,
Siedmiopromienną tęczą.

A sława siała laurów siew,
Na drogę jego męską,
Czy wroga tłumił, niby lew,
Czy sam był rażon klęską.

I równą chwałą błyszczy się
Wskróś wieków jego zbroja,
Czy Termopile świat ją zwie,
Czyli ją mieni Troja.

I wyschły wody mnogich rzek,
I koło czasu warczy,
A nie wie świat czy większy grek
Pod tarczą, czy na tarczy.

I siała sława laurów siew
Na jego młodą głowę,
Czy w marmur zaklął ducha wiew
Czy ludzką dał mu mowę.

I równą chwałą błyszczy się
Gwiaździstych dzieł plejada,
Czyli ją ziemia Venus zwie,
Czy Edyp, czy Iliada.

I przeszły fale mnogich wód
Wiejące modrą szatą,
I nie wie świat, co większy cud,
Czy Fidyasz, czy też Plato.

I śmiał się Helios z dzieła rad,
I sypał ziarna złote,
Na każdy greckiej stopy ślad,
Na greckich rąk robotę.

I rzekł: Nim przejdę niebios próg
Tam, gdzie mnie gasi morze,
Z tej młodej Grecyi, jakem bóg,
Lud nieśmiertelnych stworzę!

I wyżej boskie czoło wzbił
Płomienniej rozwiał włosy,

I każdy strumień słońce pił,
I każda kropla rosy.

I chyżej puszcza strzały swe,
Ognisty wóz pomyka,
Aż w drodze tej, czy chcąc, czy nie,
Przebudził niewolnika.

Zaczęła psuć się jakoś wnet,
Słonecznych rąk robota,
Kiedy spodlony, nagi grzbiet
Z ciemności wzniósł Helota.

Przecudna linia greckich ciał
Spaczyła się dziwacznie,
Gdy nędzarz ten, co dotąd spał,
Swój łachman wstrząsać zacznie.

Sokrates, Fidyasz, Eschyles,
A nawet Plato boski,
Poczuli w oczach słoność łez,
Na czołach bruzdy troski.

Więdnieje pieśń, więdnieje kwiat,
Klasyczna forma pęka,
I nowa treść w nią, nowy świat
Przewciela twarda ręka.

A w lirach brzmią, nieznane wpierw,
Zadumy smętnej tony,
I mirtów gaj podgryza czerw,
Podgryza laur zielony.

I choć stał niemo nędzy syn,
Z bezmyślną, tępą głową,
Zmniejszał się przy nim każdy czyn,
Malało każde słowo.

I choć nie skarżył się na nic,
Krzywd własnych nieświadomy,
Wybiła bogom bladość z lic,
Warknęły zdala gromy.

Poczerniał Pelion, gdy nań cień,
Wyschniętych upadł kości,
A cisza pełna wonnych tchnień
Zatrzęsła się z żałości.

I ujrzał grek na niebie swem
Odbity cień nędzarza,
Jak nagle się pod wichru tchem
W olbrzyma przeobraża...

I ujrzał, jak ten olbrzym-duch,
Swą mroczną dłoń wyciąga

I w piersi Grecyi gasi ruch
I słońcu jej urąga.

I ujrzał, jak się w życia tło
Rozpływa mroczne ciało,
I »Fatum« nazwał bóstwo to,
Które go zabić miało.

Napróżno Helios pęki strzał
Z żywego puszcza złota,
Olbrzymi mrok nad Grecyą stał,
Dopóki stał Helota.

I nim koń słońca w morzu pił,
Zamierzchły wód zwierciadła,
I młoda Grecya w pełni sił
I w pełni piękna — padła.



ELEKTRA

Biała Elektra płótno tka,
I piosnkę nuci z cicha,
To jej na krosnach błyśnie łza,
To cewka, zda się, wzdycha.

Piosnka jak ranny śpiewa ptak
Łza ciężką perłą pada,
A z łez i pieśni dziwny szlak
Na płótnie się układa.

I przez lekuchnej przędzy tło,
Przez cienkich lnów osnowę,
Dziwne z pod cewki cienie mkną,
Żałosne a surowe.

Jeden za drugim idą wzdłuż,
Posępnych lic mąż w męża:
A każdy niesie czarny kruż,
Miast tarczy i oręża.

A każdy w piersiach ranę swą
Wskróś jasnej niesie zbroi,

I widać, jak ociekłe krwią,
Serce mu cicho stoi...

Pod Salaminą zwiedli bój,
I pod Messeną sławną,
Teraz na pogrzeb idą swój,
Tak długo już, tak dawno!

Pod Leuktrami kędyś tam,
Pod Mantyneą padli,
A teraz idą z śmierci bram,
Surowi i pobladli...

Pod Cheroneą zbił ich wróg,
U Termopilów legli,
A teraz idą z długich dróg,
Z wąwozów, z skalnych regli...

Dawno już dali krew i kość,
Lecz wszyscy dzisiaj śpieszą,
A każdy blady, cichy gość
Łączy się z smętną rzeszą...

A każdy idąc kwapi się,
W tę drogę swą pokutną,
I twarz surową, martwą tchnie
Na to przejrzyste płótno.

Wskróś izby cichy płynie śpiew,
A cewka warczy gniewnie,
Na białem czole ściągła brew
Schylonej drży królewnie.

I cięższej coraz pada łza,
Na wątek pod jej ręką,
I coraz smętniej echo łka,
Zbudzone jej piosenką.

Bo nie zasłona ślubna to,
Na piersi jej łabędzie,
Ale śmiertelne Grecyi żgło,
Lecz całun Grecyi będzie...

Bo za nią stoi Fatum złe
I mglistem okiem patrzy,
Jak coraz wolniej, wolniej mknie
Mar orszak coraz bladszy...

Aż gdy ostatni przejdzie mąż,
Z tych, co za Grecyę giną,
Przez wieki istnień wciąż a wciąż,
Pod sławy Salaminą, —

Wyciągnie Fatum mglistą dłoń,
I wątłą nitkę utnie,

I złoży Grecya martwą skroń
Na tem śmiertelnem płótnie.

. . . .

Jak liść na wietrze cewka drży,
Królewna śpiewa blada,
Z spuszczonych oczu lecą łzy,
Jedna za drugą pada...



CYTARA TYMONA

Na rynku w Skias ciżba wre,
Zajadle lud się tłoczy,
Na smagłe lica bucha gniew,
Jak żagwie płoną oczy.

Rąk wyciągniętych cały las
Drga urąganiem wściekłem,
A krzyki, klątwy, wzgardy śmiech,
Powietrzem lecą spiekłem.

Jak w górach wicher drzewa gnie,
Tak ludzkie gną się szyje,
Jak burza, tak ta ciżba głów
Przewala, pcha się, wyje...

Nie pomni Skias, odkąd niem
Wysoki Olimp władnie,
By w rynku jego taki tłum,
Tak tłoczył się bezładnie.

Kobiety, dzieci, kto tam żyw,
Na kulach starce drżące,

Wszystko to pędzi, jak na dziw,
A z góry świeci słońce.

I złotych blasków leje zdrój
W lazurów greckich ciszy,
W ten ludzki wrzątek, w mrowie to,
Co oburzeniem dyszy.

I rzuca złoty promień swój
Na słup wkopany w piasku,
Co dwa ramiona zbite w krzyż,
Podnosi w cichym blasku.

Ten słup — to pręgierz wzgardy jest,
To na bluźnierców kara.
Lecz teraz na nim lekko drżąc,
Kołysze się cytara.

Nie czterostrunna lira to,
Nie ten tetrachord stary,
Na którym piano bogom pieśń
DorYckiej, zbożnej miary.

Na dźwięcznej desce dziesięć strun
Wysrebrza się pod słońce,
A lekki wiatr oblata ją
I budzi echa drżące...

Cytarę ową zrobił mistrz
Z najprzedniejszego drzewa,
I dał jej duszę, dał jej głos,
Co jako ptaszę śpiewa.

Z Miletu Tymon przyniósł ją,
Ukrywszy pod opończą,
I szła, na sercu brzęcząc mu
Piosenką swą skowrończą.

I tak radośnie nawskróś pól,
Przez cudny kraj otwarty,
Do Skias wracał, gdzie miał ród,
Do swej ojczystej Sparty.

Surowy pieśni dawnej ton,
Nieraz go chwytał w sidła,
Gdy, jako orzeł w słońcu, chciał
Rozwinąć oba skrzydła...

Nieraz, więziły go jak mur,
Te ciasne struny cztery,
Gdy ręką nowych szukał brzmień,
Do szerszej tęsknot sfery.

Więc cieszył się, że nowy dźwięk
I nową pieśń dobędzie.

Lecz baczny Efor zabrał mu,
Mistrzowskich rąk narzędzie.

Ten sam to był, co struny dwie
Na złotej zerwał cytrze,
Gdy Frynis z Lesbos przyniósł ją,
Dodawszy promion chytrze.

Od wieków Sparcie było dość
Na czterostrunnej lirze,
Od wieków był Tetrachord w czci,
W Tessalii i w Epirze.

Na pierwszej strunie pean brzmiał,
Ku wiecznych bogów chwale,
Na drugiej piano smętny tren,
Umarłym ojcom żale, —

A z trzeciej szła wojenna pieśń,
Gdy Ares brał obiaty,
Przy czwartej hymeneów dźwięk,
Do ślubnej wiódł komnaty.

I dosyć było czterech strun,
Na wszystkie sprawy życia,
Na wszystkie drgnienia ludzkich dusz
Do trumny, od powicia.

Kto wie do czego nowa pieśń,
Na nowych strunach służy?
Odmawia może bogom czci?
Obyczaj dawny burzy?...

Ludowi może wieścić chce
Sny jakieś, jakieś mary?...
Od razu lepiej zniszczyć złe,
Uchronić zwyczaj stary!

Więc gniewny efor srozszą dziś
Wymyślił jeszcze karę,
I wielostrunną, w rynku, w Skias,
Obwiesić dał cytarę.

A obwoływacz, miejski zbir,
Od domu szedł do domu,
By przykład się ten głośny stał,
I miasto strzegł od sromu.

Zakipiał wieścią w Skias lud,
I biegnie młody, stary,
By urąganiem zwiększyć swem
Wiszącej kaźń cytary.

Jak Pelion, kiedy śniegi swe
W doliny rzeką puści,

Tak huczy ten wezbrany gniew
Z tysiąca ust czeluści.

I pada kamień, pada proch,
I ślina wzgardy leci
Na tę bezbronną cichą gęśl,
Co drży i w słońcu świeci.

Lecz nagle Tymon rozdarł tłum
Cisnący się dokoła,
I śmiało podszedł pod sam słup,
I śmiało podniósł czoła.

Na smagłej twarzy gniewu żar
Z bladością walkę toczy,
Wysoko bije młoda pierś,
Goreją wzgardą oczy.

— Spartanie! — woła — Odkąd to
Apollo zdał swe moce
W efora ręce, co go lży,
I lirę mu druzgoce?

Odkąd to boski Zewsa ptak,
Schwytany ma być w sidła,
Kiedy w błękitów wolnych szlak
Podnosi wolne skrzydła?

Odkąd to pieśń, ten złoty zdrój,
Ma w biegu być cofnięta,
Przeto iż efor powie: stój!
I wolnej — włoży pęta?

Odkąd to — pytam — w Skias, tu,
Z purpury jest odarta?
Czy już wolnego nie ma tchu
W swych piersiach nasza Sparta?

Widzę tu motłoch, lecz gdzie lud,
Przed którym mógłbym śmiele
Przyszłości pieśnią wieszczyć cud?
Gdzie są obywatele?

Jak sępy mściwe, które rwą
Prometejowe łono,
Tak spada dzicz na lirę mą,
Słonecznie ostrunioną.

Wysoki Zeus przecież mi
Tę łaskę swoją dawa,
Że pieśń zduszona głośniej brzmi,
Niźli eforów prawa.

W wnętrznościach moich słyszę ją,
Tę pieśń ogromnej miary,

Jak się wskróś lądów i wskróś mórz,
Z tej niemej rwie cytary!

Od jońskich brzegów aż po toń
Egejskiej modrej fali,
Niesie ją złoty Feba koń,
Co się w jutrzenkach pali...

Z Oaty mi gdzieś biją w słuch
Potężnej pieśni tony,
Od Chios się podnosi duch,
Skróś wieków uwielbiony...
. . . .

Mówicie: czterech strun mam dość,
By piać ku Bogów chwale?
A któżto pieśni wzbronił rość,
Jak rosną morza fale?

A kto jej wzbronił rość, jak las,
On ziemi aż do nieba?
Kto jej zamierzył kres i czas,
Gdy zmilknąć jej potrzeba?

Kto mi tajemnych duszy drgnień,
Śmie liczbę trzymać w ręku?

Kto może wiedzieć ile tchnień,
Ile mam w piersi jęku?

Kto liczył, ile boskich strzał
Rzuca mi słońce złote?
Gdy lirę chwytam, abym grał,
Nadzieję, ból, tęsknotę?

Kto porachował gwiazdy te,
Których harmonię słyszę,
Gdy noc wiosenna wonie tchnie,
W szeroką ziemi ciszę?

Wiecież jaki jest pęd i ruch
W nienarodzonej pieśni?
I gdzie ją niesie skrzydłem duch,
I jakie światy prześni?

A ja zaprawdę mówię wam,
Idzie już czas i pora,
W której duch zerwie fałsz i kłam
Hańbiących praw efora!

Zaprawdę, chwila idzie już,
Kiedy ta ziemia cała
Pod srebrem rzek, pod złotem zbóż,
Jak lira będzie stała!

I milion strun ozwie się z pól,
I pieśń popłynie wolna,
I wyda rozkosz i wyda ból,
Najlichsza trawka polna.

I każda łza tych chłodnych ros,
Które po łąkach stoją,
Znajdzie swój krzyk, znajdzie swój głos,
I trąci struną swoją!

I milion strun ozwie się z chat,
Gdzie milczy dziś Helota,
I stanie Grecya, stanie świat,
Jak jedna lutnia złota!

A na tej lutni wieczny duch,
Swe jasne palce złoży,
I zadziwionym ludom w słuch,
Pieśń wpadnie nowej zorzy!

I wionie ziemią wielki mir,
I zestrój i pogoda...
A ta największa będzie z lir,
Co strun duchowi doda! —«

. . . .

Mówi — a każde z jego słów,
O piersi tłumu trąca,
A w blaskach stoi kaźni słup,
I brzęczy cytra drżąca...



AUGURY

Widziałem ich!... Tak zgięty kark,
Ich kroki tak leniwe...
Z nad pochylonych zwiędłych bark
Spływały włosy siwe.

Wierzch czaszki świecił, jako dno
Złocistej tykwy w lecie:
Każdy z nich może zim ze sto,
Na wyschłym dźwigał grzbiecie.

Z północnej Grecyi jeden niw,
Z Epiru szedł w południe,
Z Focydy drugi, ledwie żyw,
O kiju wlókł się żmudnie.

Delficki jeden rzucił próg,
Dodońskie drugi mury,
I tak się zeszły wprzecz swych dróg
Dwa sławne Augury.

Wieszczkowych jeden resztki szat,
Hieroglifami tkane,

Drugi miał chiton pełen łat,
I stopy niewiązane.

Błyszczący obręcz jeden z nich,
Na zżółkłe wtłoczył czoło,
A drugi wieńcem z kwiatów pstrych
Zakrywał czaszkę gołą.

Oczy — te dawno zgasły już,
Mało co widzą nieba,
A ofiarniczy tępy nóż
Nie kraje dawno chleba.

Tak szli wprost siebie, z sprzecznych dróg,
Na wielkie jasne słońce,
A cienie ich szły u ich nóg,
Niepewne, wątłe, drżące...

I byłem ciekaw, jak mnie w słuch,
Ów znany śmiech zaskoczy,
Gdy się Augurów zejdzie dwóch,
I spojrzy sobie w oczy.

Lecz oni, kiedy zeszli się,
Podnieśli zwiędłe głowy,
I oblókł razem twarze dwie
Cień smętny i surowy.

W źrenicach jeden koral miał
Drugie świeciły perłą,
A każdy siwą głową chwiał,
Oparty o swe berło.

A kiedy jedna czaszka ta,
I druga tak się trzęsie,
Spojrzę, aż wielka, ciężka łza,
Na siwej drży im rzęsie.

I spada w bruzdy zwiędłych lic,
Na wyschłą pierś wieszczkową...
I stali tak nie mówiąc nic,
I tylko chwiejąc głową.

A wiatr z Epiru zerwał się,
Szeroką, polną ciszą,
Jak dzwon zahuczał w miedzie te,
Co na świątyni wiszą.

I nad Dodoną w trwożny lot
Porwały się gołębie,
I głuchy burz dalekich grzmot,
Dom Zewsa zatrząsł w zrębie.

I z Delfów, gdzie Apollo ma
Swój chram, na góry stoku,

Ogromna sina padła mgła,
I świat zakryła oku.

A w grzmocie tym, i w sinej mgle,
Co gasi dzień na niebie,
Dwie nędzne czaszki chwiały się
Milcząco przeciw siebie...

I łza po łzie padała wzdłuż
Zoranych lic spiekoty,
I trząsł się smętnie wieniec z róż,
I trząsł się obręcz złoty...



W PIREJSKIM PORCIE

(Galerya otwarta nad morzem. Kilku młodych Ateńczyków, siedząc i leżąc, rozmawia z Atenogenesem sofistą).

CHRYZYP.

...O Bogi!
Zabierzcie sobie tego mędrca, który
Tu zmierza...

HEJTON.

I jego płaszcz, zszyty
Z samych sentencyj...

ANTYKLEJ.

Przepraszam, są dziury.

HEJTON.

To nic, załata nim dojdzie w pół drogi
Do Stoi.

CHRYZYP.

Hymnem na cześć Amfitryty...

HEJTON.

Patrz, patrz, jak stąpa...

CHRYZYP.

Jak potrząsa brodą...

ANTYKLEJ.

Jak kozioł, kiedy go na ołtarz wiodą.

CHRYZYP.

Przechodzi...

HEJTON.

Przeszedł...

ANTYKLEJ.

Jak kolka...

CHRYZYP.

Jak czkawka...

HEJTON.

I nie uronił ni strzępka, ni skrawka
Z swoich sentencyj.

TYMON.

Mój mistrzu! Jak sądzisz,
Kto też najlepiej byt świata tłumaczy
Z tych wielkich dawnych i nowych brodaczy?

ATENOGENES

Żadnemu nie wierz, a pewno nie zbłądzisz.
Komu tu wierzyć?... O, biedny ty Greku!
Ledwoś na oczy przejrzał, już cię chwyta
Tales z Miletu. Niby Afrodyta
Nauka jego wstaje z morskiej toni...
Ocean rodzi świat. Strzeż się człowieku!
Oto cię fala wszechobecna goni,
Krztusisz się wodą, tak pełno jej wszędzie.
Jak delfin nozdrza otrząsasz i uszy,
Wilgoć przesiąka do tajnych władz duszy,
Z wszystkiego co jest, co było, co będzie —
Woda się sączy, wzbiera... Wielkie bogi!
W połowie księgi zamokły ci nogi.
Czujesz, jak z boków skrzele ci wyrosły
Porastasz łuską, pływasz, jesteś wzniosły!...

(Ogólny śmiech).

— I czegóż wy się śmiejecie?...

— Nic niema

Nieśmiertelnego na ziemi. I oto
Zjawia się nowe olbrzymie systema:
Anaksymenes wznosi różczkę złotą,
Ziemię zalaną Talesem osusza,
— Odetchnij — woła. — Powietrze to dusza
Wszechbytu, wszelkiej materyi zarodek!
Dobrze. — Oddycham raz, drugi raz, trzeci,

Czuję, że pełne powietrza mam płuca...
Najlżejszy podmuch chwieje mną, podrzuca,
Nie wiem sam, gdzie mam ciężkości środek...
Bogowie! Ciało moje w górę leci
Razem z mądrością, długami i sławą...
Ha! jużbym wolał leżeć gdzie pod ławą!
Chwytam rękami na prawo, na lewo,
Lecz w wiatr się zmienia i kamień i drzewo...
Skrzydła mi z ramion wynikają ptasze,
I wylatuję — na stare poddasze!

(Śmiech).

ANTYKLEJ.

Ażem się zmęczył tą powietrzną jazdą!

TYMON.

A potem mistrzu?

CHRYZYP.

A cóż? Uwił gniazdo
Jak stary puhacz...

HEJTON.

Nie! Jak Kryton stary,
Co przed długami lezie w mysze szpary
I zamieszkuje gdzieś na trzeciej belce
Własnego dachu.

CHARYST.

Wdzięcznym tobie wielce
Za tę wiadomość.

ANTYKLEJ.

Zgubiłeś Krytona!
Charyst mu winien koncept.

HEJTON.

Pierwej skona,
Nim ten dług odda!

CHARYST.

Gdy nie z twojej głowy
Śpij zdrów, i baw się...

CHRYZYP.

I bierz się do wdowy!

TYMON.

I cóżeś mistrzu widział na tej wieży?

ANTYKLEJ.

Ależ to było poddasze, nie wieża!

CHRYZYP.

Mógł widzieć paru ślepych nietoperzy...
Każdy się archont zmienia w nietoperza
I po omacku Atenami włada.

HEJTON.

Toż samo w Sparcie.

CHRYZYP.

Niech żyje Hellada!
Niech żyją wielkie rządy nietoperza!

(Po chwili).

Widział Hejtona, jak na Komos zmierza...

HEJTON.

Widział Chryzypa, jak idzie do Zoi...

ANTYKLEJ.

I Zoję, jak się do Tymona stroi...

TYMON.

Ale co potem?

CHRYZYP.

Potem... — było ciemno.

ATENOGENES.

Zaledwiem wytchnął Anaksymenesa
I pozostałem prózen systematu,
Jak pusty pęcherz, albo pusta kiesa,
Kiedy Heraklit objawił się światu,
Wykurzył dymem wszystkie dawne bogi,
I jako chmura czarna stał nademną.

Potarł krzemieniem o mózg i rozniecił
Ogromny system, co grzał, a nie świecił.
— Ogień nas rodzi — rzekł. — I wnet przez zęby
Buchać mu zaczął dym gęstemi kłęby,
I tak zaciemnił całe te systema,
Że w niem ni jednej jasnej prawdy niema,
Chociaż praw ciemnych naliczysz na kopy.
Mówi, ja słucham — gorąco mi w stopy,
Powietrze duszne, zaczyna być parno...
Mądrość mi w głowę wchodzi żagwią czarną,
Żużle się sypią zamiast słów; logika
Pięty mi piecze i w uszach mi syka,
A jako głownia ożogiem popchnięta,
Trzeszczy, iskrami sypiąc argumenta.
Dowodzi, dowiódł — gdy wtem cała praca
Pod niebo leci i pęka jak raca,
A filozofia spalona na poły
Sypie na Grecyą siarczyste popioły...
Dmucham, chcę stąpić, gdy nagle — niech zginę!
Przez dym spostrzegam Kleona i Frynę...
Szła wznosząc oczy płonące jak drzazgi,
A ja, com pojąć nie mógł Heraklita,
Wnet zrozumiałem skąd idą Pelazgi,
Jony, Achaje, świat cały... I kwita.

CHRYZYP.

Niech żyje Fryne!

ANTYKLEJ.

I jasne systemy!

CHRYZYP.

Tymon! Cóż stoisz jak głuchy i niemy?
Patrz, łódź przepływa pod żaglem ze śniegu,
Na maszcie wianek różany. Tu z brzegu,
Czuję, że w łodzi tej płynie bogini!

HEJTON.

Która wyznaje system Heraklita,
I z pocałunków ognia — światy czyni.

CHRYZYP.

Patrz, jak powiewa jej zasłona biała.
(Widać zbliżającą się łódź. Hejton powstaje i woła).
Ho, Thalasiana!... Ho! ho!...

CHRYZYP.

Przeleciała,
Jak przelatują nadbrzeżne łabędzie...

TYMON.

(w zadumie)

I to już wszystko, co było? Co będzie?

ANTYKLEJ.

Mój mistrzu przemów, bo Tymon się zmieni

W posąg pytania, bez dłuta Fidiasza...
A już w Atenach dość mamy kamieni!

CHRYZYP.

Więc kiedyś wyszedł z onego poddasza...

ANTYKLEJ.

I w ogniu ujrzał świat cały widomy...

ATENOGENES.

Tom się rozleciał w drobniuchne atomy,
I nawet była po mnie wielka stypa,
Patrz Demokryta, albo Leucypa.
Przez sto olimpiad wiatr mnie w polu pędził,
Na deszczu moczył, na słońcu mnie wędził,
Zbliżał, oddalał i dzielił, i łączył,
Aż mnie nareszcie...

ANTYKLEJ.

W kielich wina wsączył.

ATENOGENES.

Jeśli przerywasz, mów sam!

CHRYZYP.

Mistrzu drogi!
Nie dbaj na ludzkie głupstwo! Grecya słucha...

ANTYKLEJ.

Ho! Dionizos!... Patrz rosną mu rogi!
Obrasta chmielem... Patrz, patrz, w dudkę dmucha...

TYMON.

Cicho!... Wszak ja też łykam gorzką pianę,
Lecz wiem, że kroplę prawdy z niej dostanę.

HEJTON.

Jak mówi Homer...

ANTYKLEJ.

Nie! Jak Heziod mówi.

HEJTON.

Sto za Homerem przeciw Heziodowi!

ANTYTLEJ.

Sto za Heziodem!

CHRYZYP.

Do tysiąca gromów
Zewsa!... To wielka myśl, ten ruch atomów!
Coś, co się samo odpycha, przyciąga,
Rozdziela, łączy, i jądrem jest świata...

HEJTON.

Ostrzegam — Chryzyp Zewsowi urąga!

ANTYKLEJ.

Chryzyp jest godzien cykuty Sokrata.

ATENOGENES.

Rzekłeś: Sokrata – pochylam więc głowę.

TYMON.

A ja wołania gdzieś słyszę echowe
Nad całą Grecyą... Biada! biada! biada!...

CHRYZYP.

To Pitagoras tablice układa,
I dźwiękiem idzie od sfery do sfery,
Dowiódłszy światu, że dwa a dwa — cztery.

ATENOGENES.

Mędrcy konają, lecz mądrość nie kona.
Sokrates zrodził...

ANTYKLEJ.

Kritiasa...

ATENOGENES.

Platona.
Odtąd świadomi, co w chmurach się dzieje,
Grecy zaczęli rozważać ideje,
I obróceni nosami do góry
Lecą w rzymskiego orlątka pazury...

(do **Antykleja**)

Co myślisz? Platon mniejszym był tyranem
Niżeli Kritias?

ANTYKLEJ.

Kto to wiedzieć może?...

ATENOGENES.

Ty, bo niedługo mieć będziesz obrożę
Z znakiem Kwirytów. Rzym będzie twym panem.

CHARYST.

Wszystko cokolwiek jest, jest dziełem Bogów.

HEJTON.

Słuchajcie! Oto jest koncept Charysta!

(do Chryzypa)

Leć po Krytona!...

CHRYZYP.

Hej nadstawcie poły!
Kto nie nadstawi poły, nie skorzysta...
Ataryst przemówił!...

HEJTON.

Zaprzęgać tam woły!
Będziemy ciągnąć koncept ten wołami...

ATENOGENES.

Ile, Charyście dałeś dziś batogów
Twoim helotom?

CHARYST.

O!...

ATENOGENES.

Czegóż się zżymasz?
Wszak władzę mówisz sam, od bogów trzymasz.
Możesz bić! Ja ci tylko między nami,
Tak, po przyjaźni powiem jedno słowo:
Z łez niewolników, i z krwi ich, i z potu,
Wieki utworzą, jak z kropelek wody,
Ogromną, czarną chmurę piorunową,
Która pożarem ogarnie narody.
— Słyszę już odgłos dalekiego grzmotu...
To przyszłość idzie!

(głos przechodzącego z siecią rybaka)

Makrele!... Makrele...

ATENOGENES.

Ateńczykowie i obywalele!
Przeklinam mądrość ryb, które są — w sieci.

(długie milczenie)

Późno już! Kto do miasta ze mną?

CHRYZYP.

(wstając)

Dalej, dzieci!



KALOSKAGATOS[1])

[1]) Mąż piękny i dobry.

. . . .

Pomiędzy czernią Helotów pijaną
Od kijów rządcy i kwaśnego wina,
Wiódł Glaukon swego najstarszego syna
W pogodne ateńskie rano.
I rzekł: »Patrz chłopcze na podłą tę zgraję,
Jak znikczemniona i jaka obrzydła...
Kopnąłbym nogą, lecz wstręt mi nie daje
Dotykać takiego bydła«.
A gdy to mówił, twarz jego pałała
Wzniosłą pogardą dla wszelkiej ohydy.
I stał tak w blaskach i ducha i ciała,
Unosząc białej chlamidy.
A przez złocistą u wejścia arkadę
Bił dzień i sypał złociste swe pyły.
I gasł odbity o czoła te blade,
O oddech izby tej zgniły.
Spojrzało chłopię. W kąt izby stłoczeni,
Nadzy, wychudli, z sińcami na grzbiecie,
Leżeli jedni napował, jak śmiecie,

Inni się snuli — jak cienie.
Młody straceniec zwiędłemi klął usty,
I toczył pianę i wił się na ławie,
A nędzny starzec piosenkę rozpusty
Śpiewał ochryple i łzawie.
W głębi, pod ścianą, z rękoma wbitemi
W gęstwinę włosów, z płomieniem na twarzy
Siedział niewolnik i patrzał ku ziemi
Zagasłym wzrokiem nędzarzy.
I zwolna oczy podnosił jak miecze,
Aż nagle niemi uderzył w Glaukona,
I drgnął, i resztki uczuciu człowiecze
Warem podeszły do łona.
I pochylony, jak strzała napięta,
Wstał dysząc ciężko z swojego tapczana,
I podniósł ramię, a pięść wyciągnięta
Stężała przy piersi pana.
— Idź!... Idź!... Idź!... — krzyknął. Za pierw-
[szym mu razem
Głos jako łańcuch zgrzytnął zardzewiały,
Za drugim — dźwięknął, jak rwany w kawały,
Za trzecim — błysnął żelazem.
A ten krzyk krótki, jak puginał Greka,
Szedł w pierś Glaukona wskróś białej chlamidy,
I miał coś z ryku zwierza, i z człowieka
Jęku, i groźby i wstydy...

Kaloskagatos cofnął się od ściany
I lekko pobladł. Wtem syn go zapyta:
—»Czemu ten biedak na ciebie tak zgrzyta?«.
Glaukon rzekł zcicha: »Pijany«.

. . . .



W ROCZNICĘ TERMOPILÓW

...A podniósłszy głowę
Wstał Tymon i odłożył księgi sławy stare,
I szedł czcić czyny ojców swych Heraklitowe,
I ofiarować bogom dziękczynną ofiarę.
I zdjął z ramion zszarzane niewoli swej szaty,
I rozdmuchał pochodnię gorącem ust tchnieniem,
I niósł w ręku kwiatowe wieńce i objaty.
A serce mu urosło ogromnem wspomnieniem.
Bo mówił: »Otom syn jest — a to ojce moje,
I z krwi tej idę, która bojowała boje,
A dziś, w obliczu Romy, przypomnę to bogom«.
Aż przyszedłszy, obaczył strzaskane kolumny,
Co się do stóp rzuciły marmurowym progom,
I były, jako białe kości, albo trumny...
A po nich szły umarłych płótna — pajęczyny,
I plątały się kwieciem znikome powoje.
Bo jest wstyd, co osłania rany i ruiny,
A każda rzecz zabita ma dziewictwo swoje.
Aż kiedy poszedł dalej, do serca świątyni,
Cofnął się i ogniami zapłonął na twarzy...
Biała Atene, wielkich praojców bogini,

Strącona z narodowych najczystszych ołtarzy,
Leżała w brudnych pyłach, jak martwe tułowy.
Ramiona jej odcięte od piersi i głowy,
Na stopach marmurowych ohydne powrozy,
Któremi ją wleczono przez rzymskie obozy,
A twarz zimna, zwrócona pod ciche błękity,
Milczeniem się skarżyła, bo wzrok był zabity.

A tak w tem spustoszeniu stojąc z gorzkim płaczem,
Puścił z rąk załamanych pochodnie i kwiaty,
Bo nie miał ofiarować komu ani na czem...
A wspomniawszy, iż bogi nie mają mściciela,
Usiadł i zakrył oczy połą swojej szaty,
I w boleści nad hańbą przeżył dzień wesela...



FRAGMENT.

Nie, to nie była grecka kolumnada,
Z której kaskadą jasność dzienna spada,
W jońskich żłobieniach gubiąc swe opale.
Słońce nie drżało, jak dyament stopiony,
Strzał złotych w błękit miotając miliony,
I kąpiąc czoło w powietrza krysztale.
O rzeźbę brzegów nie biło tam morze,
Jak wino Cypru, zamknięte w amforze,
Co, szumiąc, w perły rozpryska swe fale...

Nie, tam nie rządził Zeus, ani Hero,
Ni cały Olimp, jedno wielkie zero,
Co na płacz ludzki oczy ma kamienne...
Nikt tam nie wołał wielkim, głośnym krzykiem:
»Niesprawiedliwość!« — I nikt niewolnikiem
Nie przyszedł na świat, klnąc jasności dzienne...
Pogańskich mędrców nie było tam zgoła,
Coby sofizmem zaćmiewali czoła
I ujarzmiali duchy przez pół senne...
Nikt na marmurze białym targowicy

Nie stawiał jeńcem męża ni dziewicy
Z wpół obnażonem, drżącem hańbą łonem...
Nikt nie rozdzielał matki z jej dzieciną,
Nikt na twarz starca, pomarszczoną, siną,
Nie pluł z cynikiem Xenem, ni Milonem...

Nie, to nie były owe ciemne wieki,
W których bez Boga i prawa opieki
Ludzkość błądziła, krwią znacząc swe ślady...
Nie, to nie były te wieki zatrute,
Co mędrcom swoim dawały cykutę,
Nędznych helotów mnożąc zastęp blady...
Tam nie radzili wielcy myśliciele [1]),
By niewolników piętnować na czele,
Z bydłem u rzeki pojąc ich gromady...

Nikt tam za okup wolności bliźniego
Nie wziąłby miny złota ateńskiego,
By ją heterze rzucić na wonności...
To był świat inny, chrześcijański, nowy,
Co barbarzyństwa zrzuciwszy okowy,
Wiele i głośno mówił o wolności...
Stawiał świątynie, czcił Boga, kapłany,
Mnogie ustawy kreśl ł zadumany,
Prócz jednej tylko — ustawy miłości!

---

[1]) Ksenofont.

Miał pyszne grody, pałace wspaniałe,
Zielone parki i muzea białe,
Gdzie grecka piękność skamieniała stoi...
Miał pełne gwaru i ciżby stolice,
Świetne salony, bogate dzielnice,
I tłum, który się echem szczęścia poi...
Miał praw spisanych wielkie, grube tomy,
Nowe idee i postęp widomy,
I klucz od wielkich tajemnic podwoi...
Miał brzmiące hasła i jasne sztandary
Miłości bratniej, pokoju, ofiary,
To był świat ludzki, chrześcijański, nowy...

Tylko — były tam całe tłumy ciemne,
Życia bez jutra, wysiłki daremne,
I pochylone od zwątpienia głowy...
Tylko — były tam smutne, blade twarze,
Ręce bez pracy, bez bóstwa ołtarze,
Piersi gryzione tajnych buntów jadem...
Tylko — nie wszystkim świeciło tam słońce,
I tylko nędzarz ramiona mdlejące
Łamał w milczeniu ponad czołem bladem...

Tylko — nie wszystkich nakarmiał chleb ziemi,
I źródła wiedzy wodami żywemi
Nie wszystkie usta poiły spragnione...
Tylko tam były ubogie poddasza,

Gdzie śmierć nikogo z nędznych nie przestrasza,
Bo życie nosi cierniową koronę...
Tylko — krwią ludów spłynęły tam rzeki,
I tylko w błyskach leciały tak wieki,
Jako zmącona łez ludzkich kaskada...

Lecz świat był ludzki, chrześcijański, nowy,
I dawno rzucił pogaństwa okowy...
Nie — to nie była grecka kolumnada!



II.

SCLAVUS SALTANS.

SCLAVUS SALTANS.

Maro swych gości po uczcie prowadzi,
Gdzie zakupieni wczora niewolnicy
Na zgniłej słomie, wpółnadzy i bladzi,
Wypoczywają zamknięci w piwnicy.
Maro — to znawca! on swoje obole
Wie na co wydać, krwi dobrej zna cenę:
Jak amor każde u niego pacholę,
A mąż — gladiator! choć dzisiaj w arenę!
Ot, pierwszy: Numid, nabytek wspaniały!
Tors, jakby z bronzu, a włos, jak lwie grzywy.
Rzut oka, zda się, przekuć można w strzały,
Nerwy drgające wyciągnąć w cięciwy!
Przepyszny towar! Gdy Maro go nogą
Kopnął, wołając: »wstań bydlę!« twarz dzika
Spłonęła jakąś ognistą pożogą
I ryknął wściekle: »Nie budź niewolnika!«
Co za głos! Wstrząsła się podziemna cisza...
Lentulus w strachu zgubił wieniec róży...
Wielcy bogowie!... Na brodę Jowisza,
Zda się, jak gdyby wołał: »Nie budź burzy!«
Słychać, jak kędyś powstaje bezładnie

Pomsta, co kiedyś nad światem zapadnie...
Warczącą przepaść zgrozy słychać zdala...
Drżyjcie, to Romę niewolnik obala!
Oto powstają wraz z klątwy tej echem
Gromy strasznego stuleciom wybuchu...
Goście pobledli, a Maro z uśmiechem
Rzekł: »Przez Herkula! wszak on na łańcuchu!«
Lecz biesiadnicy cofali się żywo...
Maro ich tedy ku innej wiódł stronie,
Gdzie, jak łuk zgięty w pyszną linię krzywą,
Stał Grek młodzieńczy, ukrywszy twarz w dłonie,
I płakał. Biada, kto płacze w niewoli!
Łza, jak rdza, męską moc ducha przejada...
Kto w więzach słabnie, jest godzien swej doli...
Rozpaczającym niewolnikom — biada!
On rodzinnego nie ujrzy już nieba,
Ni na igrzysku nie chwyci w lot dzidy,
Rzuconej ręką gibkiego efeba...
Łańcuch rwą tylko lwy, albo Numidy!
Łzy — to zbyt wiele, i łzy — to zbyt mało...
Goście milczeli. Z zapałem artysty
Wskazywał Maro, jak piękne to ciało
Określa kontur pogodny i czysty.
Wtem z boku nuta wesoła dolata...
To »sclavus saltans«, Słowianin wpół dziki;
Wszędy mu dobrze — i wszędy mu chata,
Byle miał pląsy i trochę muzyki!

Z młodzieńczej wierzby naciąwszy gałęzi,
Uczynił sobie grające narzędzie,
Skacząc, zapomniał, że łańcuch go więzi...
— Och! niewolnikiem ten był, jest i — będzie!



CLAUDIA

I.

Wczesnym się rankiem Roma ze snu zrywa...
Od Awentynu leci wieść straszliwa
I wiecznem miastem zgroza wstrząsa blada.,.
— Wielcy bogowie! Kamienny deszcz pada!
Strzaskanych głazów huk w powietrzu słychać,
Lecą — i zemstą zdają się oddychać...
Wschód zakrwawiony z za Tybru wyziera,
Niby płomienna zniszczenia bandera;
Ciężkie chmurzyska nad miastem się wloką.
A jakby Jowisz kamienną opoką
Tron swój wieczysty druzgotał na szczęty,
Takie się walą granitu odłamy
Na place miejskie, na forum, na bramy,
Tocząc się z mostu w Tybrowe odmęty,
I barykady dziwne w oka mgnieniu
Wznosząc w ulicach, kamień po kamieniu.
— Barroniusz pójdzie kiedyś do okopów,
Nazwać te głazy »budową Cyklopów«.
Zamęt, ścisk, trwoga... lud tłoczy się, krzyczy,
Pomnaża ciżbę zastęp niewolniczy,

Który, jak zwykle, dzień publicznej klęski
Już brał za odwet krzywd swoich zwycięski...
— Gniew bogów, choćby nawet gniew kamieni,
Ma sprzymierzeńców, gdzie są uciśnieni.
Rzuca miękkiego triclinium wygodę
Lelius, w pół ledwo utrefiwszy brodę,
Klisten wybiega zdyszany, bez wieńca,
Lucynie braknie kupnego rumieńca,
Tryfoniusz opak chlamidę nakłada,
A wszyscy krzyczą: biada! biada! biada!...
Eheu! Eheu!... o Jowiszu grzmiący,
Rozmarszcz brew swoją, która bogi kruszy,
I wskaż, jakiemi ofiary dymiący
Ołtarz ci podnieść? —
Tak modlą się w duszy
Obywatele Romy: strach przygina
Kark, choćby twardy, jak kark rzymianina.

II.

— »Do ksiąg sybilskich pospieszcie kapłany,
Wróżby z pod klamer dostańcie dwunastu,
I w nich czytajcie, czem zagraża miastu
Cud ten złowrogi, cud ten niesłychany?
Ty, ludu, czekaj! Pierś twa bez oddechu
Niechaj przynagla kroki ich skwapliwe...

Hermesie! boże skrzydlaty pośpiechu,
Bądź z nimi!«
Lecą godziny straszliwe
Oczekiwania... mdleją w sercach tętna...
Ciżba dysząca, trwożna i namiętna,
Naprzód podana, jako morska fala,
Prze się pod samo wzgórze Kwirynala.
Otwarte usta, płonące źrenice
W lot chcą pochwycić wróżby tajemnicę.
Naraz — dreszcz przebiegł tłumy. Między zgrają
Podniósł się okrzyk: »wracają!... wracają!«
Z odkrytą głową wszedł augur na wzgórze,
Kreśląc hieroglif laską swoją krzywą,
A wrzawy tłumów zażegnawszy burzę,
Tak mówił mową dziwnie przenikliwą:
— »O ludu rzymski! Ten deszcz granitowy,
Wieszczy nam ciężkie klęski i niedolę!
Może Numidy rzucą step jałowy
I przyjdą nasze zaorywać pole...
Może Etruski sztuką jaką zdradną,
Lub inne wrogi w bramy miasta wpadną...
Może Kampania urodzi bliźnięta:
Głód i mór blady... może... o! przeklęta
Głowa ta siwa, co wam klęski wróży!«
To mówiąc, starzec, palce swe zanurzy
W srebrzystej brodzie, a rwąc ją w żałobie,

Za wieszczby swoje złorzeczy sam sobie.
Tłum jęknął głucho, jakby ujrzał z dala,
W jasnowidzeniu, hufce Hannibala...

Wtem drugi augur zadumany kroczy:
W księdze Sybilli utopione oczy
Podniósł powoli i spojrzał dokoła,
I rzekł: »Rzymianie! Rozjaśnijcie czoła!
Oto, co wróży księga prorokini:
— Gdy nieprzyjaciel jarzmo na was czyni,
Gdy głód ogryza kości własnych dzieci,
Gdy mór na skrzydłach zaraźliwych leci,
Romie zbawieniem od śmierci i wrogów
Będzie Idea, wieczna matka Bogów,
Którą Pessinont w świątyni swej chowa«. —
Zaledwie augur wymówił te słowa,
Tłum jako morze, chłostane przez burze,
Zawrzał, zahuczał i tak ścisnął wzgórze,
Jakby w objęcia chciał je wziąć z kapłanem...
A kapłan powiódł okiem zadumanem
Po ciżbie — i rzekł:
— »Lecz tylko w ramiona
Męża, co w piersiach ma serce dziewicze,
Zejdzie z ołtarza bóstwo tajemnicze...
Kto się niegodny dotknie doń — ten skona«.
A tłum się cofnął milczący — i w ciszy
Liczy się z sobą. — Ludu! Jowisz słyszy!

III.

Jest w Rzymie młodzian, czysty jak dziewica;
Lat mu dwadzieścia cztery już dobiega,
A piękność niewiast, co żądze podżega,
Nigdy płomieniem nie pali mu lica,
Nigdy w nim mętnych pożądań nie budzi,
Jak bezcielesny duch żyje wśród ludzi...
Czoło ma jasne, jak dziewczyna młoda,
Z oczu mu patrzy cisza i pogoda,
Ust jego usta nie tknęły płomienne...
A jakieś mgliste obrazy wpółsenne,
Któremi rozkosz wabi go z daleka,
Odpycha, jako niegodne człowieka.
Gdy tęskni — pieśń mu starczy do zabawy;
Kocha Rzym, braci i nadzieję sławy...
Toż gdy, po tajnej z sumieniem naradzie,
Senat w dwie urny gałki losów kładzie,
W głos jeden buchnie ciżba niezliczona:
»Scypiona chcemy! Scypiona! Scypiona!...
On niech do Frygii poprowadzi flotę,
I Attalowi skarby szczerozłote,
Medymny zboża i szat drogich mnóstwo
Niech odda, w zamian za ochronne bóstwo!
Nigdy godniejsze nie tknęły ramiona
Żadnej bogini... Wyszlijcie Scypiona!»
Nie wiem, czy zacni brodacze w senacie

Wyborem takim byli ucieszeni
Senon, Papinian, lekko się rumieni...
Lecz nie z zazdrości — mylisz się mój bracie —
Tak niskich uczuć nie pokrywa toga...
Zresztą — głos ludu był już — głosem Boga.

IV.

Kryształnym szlakiem od Ostii przez morze
Lekka flotylla srebrną brózdę porze;
Białe jej żagle, brzeżone purpurą,
Jak skrzydła mewy trzepocą się górą,
Tchnieniem swem nagląc statek w hyżym biegu...
Z wioseł pryskają piany nakształt śniegu.
W pół obnażeni atleci wioślarze,
Ruchem kolejnym chyląc się po parze,
Wznoszą ramiona żylaste, drgające,
Które w bronz żywy przepala im słońce;
A fala gniewna, jak rumak stepowy,
Co poczuł nagle uzdę i podkowy,
Żuje wędzidła i srebrnym tchem bucha,
I drży i parska, przecież jeźdźca słucha...
O! śpiesz, Scypionie! o, śpiesz! Niech widomie
Zagości bóstwo w zrozpaczonej Romie,
Niech ją prawicą wyciągnioną strzeże!...
Już tłumy ludu zaległy wybrzeże,

Jak przypływ morza hucząc niecierpliwie...
Augur zdala wzniósł czoło sędziwe
I rzekł; »O ludu! tyś na całym świecie,
Jak mąż potężny, a słaby — jak dziecię!« —

Valerius Falton o wspaniałej brodzie,
Którą w senacie podczas obrad gładzi,
Orszak Rzymianek dostojnych prowadzi,
Przodując zacnie w poważnym pochodzie.
Gdy statek piersią z brzegami się zetrze
I krzyk radosny rozegrzmi powietrze,
Domowych ognisk kapłanki te czyste
Z pokładu wezmą bóstwo tajemnicze
I nieść je będą w miasto wiekuiste,
Rąbkiem szat białych zakrywszy oblicze...

Tłum dech wstrzymuje. Patrz! prosto, jak strzała...
Płyną tu... widać już żagle i wiosła...
Mglista flotylla mknie, jak gdyby rosła,
W oczach tężeje i nabiera ciała.
Już na pokładzie dojrzeć może oko
Młodzieńczą postać smukłą i wysoką —
To Scypion!

V.

Cóż to? — Opodal jak kwiatek,
Rzucony w wodę w zadumy godzinie,

Drobna, perłowa koncha, lekko płynie
Jakiś nieznany, wiotki, nikły statek...
Numid zsiwiały na żarach pustyni,
Numid na wietrze gorącym spalony,
Drogę mu krętą przez fale skroś czyni,
Pluskając lekko wiosłem w obie strony,
Jakby igraszki przypomniał chłopięce.
W łodzi, niedbale zwiesiwszy na ręce
Głowę ciężącą bogactwem warkoczy,
I w morzu czarne utopiwszy oczy,
Klęczy wpatrzona w głąb toni żeglarka...
Nie wiem, czy na dnie liczy piasku ziarka,
Czy drobnych rybek śledzi korowody,
Czy jak w lusterko patrzy w szklane wody:
Lecz gdzie spojrzenie jej w fale zapadło,
Morze odbiło gwiazdy, jak zwierciadło.
Prawe jej ramię nagie aż do spinki,
Co pierś zakrywa tuniką Greczynki,
I łunę złota rzuca na jej ciało,
Z łodzi zwieszone, a przez dłoń jej białą
I drobne palce — morze, szemrząc, pluska,
I tak się marszczy, jako modra łuska.

Lecz nagle, niby ze snu rozbudzona,
W stronę flotylli zwróciła swą głowę,
I oczy duże, oczy opalowe,
Utkwiła, milcząc, w źrenicach Scypiona.

Coś się w powietrzu zmieszało... Czy fale
Rozkryły na dnie perły i korale,
Czy nenufary rozkwikły u brzegu,
Czy gdzieś syrena plusnęła się w biegu,
Czy żagiel zadrgał, jako pierś człowieka,
Czy drobna rybka przed siecią ucieka,
Czy gdzieś Najady zaplotły się wieńcem,
Czy srebrne piany spłonęły rumieńcem...
Któż zgadnie?... Scypion usty spragnionemi
Chwycił powietrza głęboko... głęboko...
A potem zadrżał i spuścił ku ziemi
Dziwnemi żary pałające oko.

VI.

Jeszcze za wiosłem rozpryśnięte pianki
Gasły w powietrzu, w tęczowej iskierce
Zwierciedląc ciche, przejrzyste błękity,
Gdy okręt wstrzął się i stanął jak wryty.
Przekleństwo!... Scypion poczuł, że ma serce,
Bijące żądzą dla ziemskiej kochanki!
Próżno wioślarze, jak łuki wygięci,
Chłoszczą wiosłami obumarłą falę,
Próżno z wód krzeszą iskry i opale;
Okręt się w lewo, to w prawo zakręci,
Przechyli, zadrgnie i znów nieruchomy,
Jak fatum, wróży zagubę dla Romy.

— »Na barkach własnych wynieśmy boginię!
Choćby po trupach, ktoś przecie dopłynie
I miasto zbawi!... Kto na śmierć się waży?«
Dwóch, trzech, dziesięciu rzuci się żeglarzy
Tam, gdzie bogini, w swej bieli kamienna,
Źrenicą z głazu patrzy, niby senna,
Niby pochmurna, niby zadumana,
Na spłonionego rozkoszą młodziana.
Hanon wyciąga ramię gladiatora
I dotknął białej draperyi... wtem nagle,
Grom huknął w maszty i świszcząc zdarł żagle...
Hanon padł martwy, oczyma upiora
Wpatrzony w bóstwo, nad którego czołem
Węże błyskawic zaplotły się kołem,
Rzucając łunę ognistą, czerwoną,
Na brew zmarszczoną i kamienne łono.

Przez tego trupa z obliczem zczerniałem,
Co drogę wpoprzek zawalił swem ciałem,
Nikt nie śmiał dłoni ściągnąć; a wśród ciszy
Słychać, jak piorun warczy, grozi, dyszy...
— Niechaj śmiertelny zmazy swej się lęka,
Bowiem grom dzierży wiekuista ręka!

VII.

Z brzegów tymczasem wrzawa się podniosła:
Krzyki powietrze sieką, jako wiosła,

Piersi, jak żagiel statku, wzdyma burza,
A lud, jak odmęt, prze się, kipi, nurza,
I wre, i szumi, i pryska w przestworza
Pianą uniesień. — Augur z oddali
Spojrzy i rzecze: »Oto są dwa morza,
Lecz spokój mędrców jest po stronie fali.«

Rzucając w koło spojrzenia sokole,
Valerius dojrzał drobną, nikłą barkę
I pogrążoną w zadumie żeglarkę,
Która się własnym marzeniom uśmiecha...
A jej przepaska, puszczona na wodę,
Z wiatrem się niesie, jak skrzydła motyla...
Dojrzał i szepnął: »Klaudya...«
Była chwila
Ciszy wśród tłumu po tym szepcie; echa
Tylko nadbrzeżne, miękkie i pieszczotne,
Szepnęły: »Klaudya...« i umilkły drżące,
Jakby to imię miało samo z siebie
Jakieś oddźwięki namiętne, palące,
Od których więdną kwiaty i wilgotne
Rosy zajmuje płomień, a na niebie
Gwiazdy blednieją i lecą strącone...
Lecz chwila była krótką. Oburzone
Matrony rzymskie spojrzały zjadliwie
Na tę samotną i na tę niedbałą
O świat, i ludzi, i wrzawę ich całą,

Na tę milczącą dumnie i wzgardliwie...
I wnet za pierwszej Lucyny przykładem,
Ostre przymówki sypnęły się gradem:
— »Klaudya bez grona niewolnic wychodzi...«
— »Klaudya, w kosztowne przybrana tkaniny,
Z głową odkrytą, jak miejskie dziewczyny,
Z jednym Numidem zasiada do łodzi...«
— »Wszak na ozdobę żeńskiemu strojowi
Pół uncyi złota *Lex Oppia* stanowi;
A Klaudya depce krajowe ustawy:
Złoto w przepasce w trójnasób przeważa...«
— »I dziś, dla godnej zalotnic zabawy,
Sama w tej barce płynąć się odważa...«
— »Gdy płocha młodzież wielbi wdzięki marne,
Oczu nie spuszcza, nie rumieni lica...«
— »Męża za pana nie zna! niewolnica...«
— »Śmie w niebo zwracać oczy swoje czarne,
Jakby pytała u Bogów zuchwale,
Czy sprawiedliwie dzierżą losów szale!...«

Słów tych słuchając, Falton ręką białą
Przygładził brodę i rzekł: »Na Jowisza!
Wiem ja, skąd morzu ta niemoc i cisza...«
Jeszcze nie skończył, już w ciżbie zawrzało...
Wskazał na łódkę — a oto wnet z tłumu
Wyleciał kamień, ciśnięty jak strzała...
Wyleciał, świszcząc i wśród fali szumu

Tak się trzepotał, jak gdyby jaskółka,
Lecąc nad wodą, pióra w niej maczała.
Padł, a tuż po nim rozbiegły się kółka
Po drżącej wodzie, coraz szerzej, dalej,
W krążki i kręgi ciemne, aż na fali
Wielka się plama posępna wylęgła,
I steru barki bokiem swym dosięgła,
I objęta je zmąconemi prądy,
Rzucając na nią cienie, jako trądy.
Augur zadrżał i rzekł: »Wielkie Bogi!
Widziałem dzisiaj sądów ludzkich drogi«.

VIII.

Zaledwie morze wygładziło lica,
Padł długi kamień, jak zatruta strzała,
I przyniósł z sobą słowo: »Zalotnica!«
Głośne, syczące. — Żeglarka powstała,
Strząsając z szaty rozbryzganą pianę,
I obracając oczy zadumane
Na brzeg, gdzie ryczał tłum wściekłością zdjęty.
Biały kwiat z włosów rzuciła w odmęty,
I rzekła: »Oto broń moja jedyna...
Widzę tu sędziów — ale gdzie jest wina?«
Słowa jej z fali zmieszały się szumem
I powróciły, w pół drogi odbite

Gradem kamieni; rozwścieczonym tłumem
Falton dowodzi; on najtrafniej ciska...
Patrz! kamień z rąk mu, jak z procy, wypryska
I trafia ramię żeglargi odkryte,
Przepaskę ciału dając koralową...
Porwał się Numid i jak lew zraniony,
Ryknął: pustynię wspomniał i swobodę...
I drgającemi czarnemi ramiony
Wyrwał maszt z łodzi, okręcił nad głową
I z świstem rzucił przez spienioną wodę
W sam środek tłumu.
Ruchem monarchini
Wstrzymała Klaudya dzikiego wioślarza.
— »Stój!« — rzecze — »Jowisz sąd nad ziemią
Niechaj się słaby nigdy nie znieważa [czyni!...
Walką z silniejszym... chcę cierpieć dostojnie«.
A potem, wzniółszy piękną głowę hardą,
I wodząc okiem po tłumie z pogardą,
Wsparła na sterze rękę swą spokojnie
I rzekła: »Wielki ojców moich Boże!
Sądź mnie tu, teraz, wobec tego ludu!
Jeślim się żadną nie zmazała winą,
Ty spotwarzonej daj świadectwo cudu:
Niech za mym pasem, rzuconym na morze,
Wstrzymane statki do brzegu dopłyną!« —
Rzecze i z bieli szat swoich powiewnych,
Szarfę błękitną, tkaną w gwiazdy złote,

Niewolnic z Tyru przedziwną robotę,
Zwolna odwija...
Cisza, jak w świątyni,
Zalega brzegi... tylko gdzieś z daleka
Konają resztki jakichś szmerów gniewnych,
Jak echa burzy. — Jowisz sądy czyni...
A niech śmiertelny pomsty nie docieka!...

IX.

Z ostatnich węzłów pas Klaudyi rozwity
Zadrżał od wiatru, czy od bicia łona...
A w chwilę potem żeglarka wzruszona,
Promiennym wzrokiem wpatrzona w błękity,
Szepcząc: »O bogi!... spełnijcie przysięgę!...«
Rzuciła w morze lazurową wstęgę,
Widną na falach, jako mleczna droga,
Od pokrzywdzonej — do sędziego Boga.

Okrzyk namiętny podniósł się z okrętu.
To głos Scypiona... buchnęły płomieniem
Piersi młodzieńcze... wyciągnął ramiona.
I — jednem falę zmierzywszy spojrzeniem,
Jak stał, tak skoczył, i znikł wśród odmętu.
Morze! Dzień Zamy bliski!... Strzeż Scypiona!...

Tłum zawrzał głucho, wstrząsany koleją
Dreszczami zgrozy i cudu nadzieją...

A taka cisza wybrzeże zaległa,
Żeś słyszał chwilę tę, jak w wieczność biegła.
Dziwna to cisza! słychać serca bicie,
Szelest krwi w żyłach i oddechu drżenie.
I jako struna prężące się życie,
I wszechpotężną wymowę — milczenie.

X.

Piersią drgającą odtrącając piany,
I szturmem biorąc każdy cal przestrzeni,
I szlak przed sobą pięścią bijąc szklany,
Za sobą krzesząc snop drogich kamieni,
I brózdy znacząc wskróś morza tęczowe,
Dopływa Scypion do łodzi.
Wzniósł głowę
I patrzył chwilę płomienny i blady,
W czarne źrenice milczącej żeglarki.
A potem wyrzekł: »Wierzę!«... Zaś owinął
Rzuconą wstęgą rękę, i od barki
Potężnym rzutem zwróciwszy się, płynął
W spienione jeszcze poza sobą ślady.

Blisko już... bliżej... wyciągnione ramię
W dwoje ostatni bałwan wody łamie,
Ostatnią przepaść ziejącą zwycięża,
Dosięga liny, chwyta ją, wypręża
I wiąże do niej błękitną przepaskę,

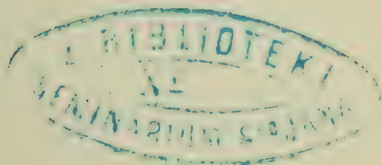
I falom rzuca na łaskę, niełaskę...
Drżyjcie!... Sąd Boga!...

Schwytany za skrzydła
Ciszą śmiertelną, okręt, jak ptak dziki,
Pojman w zdradzieckie, kryształowe sidła,
Miota się, zrywa, drży... Tłumu okrzyki,
Który jak wulkan, lawą szału bucha,
Niecą widomie jakiś zapał męski
W rzeczy tej martwej, co zda się mieć ducha,
I lekko, chyżo, pochód swój zwycięski,
Jakby stęskniona do brzegów i ziemi,
Przyśpiesza, wiejąc żaglami białemi...

»Klaudya!« — tłum krzyczy — »Klaudya niech bo-
Z białego kwiecia ofiarę uczyni!«... [gini
— »Klaudya niech orszak dziewiczy prowadzi!«...
— »Evoe! Klaudya!... Szlijmy do niej posła!«...
Valerius Falton piękną brodę gładzi
I rzecze: »Płynę, niech podają wiosła!«
A tam na falach cicha, nieruchoma,
Ze złożonemi na piersiach rękoma,
W chwiejącej łódce bez masztu, samotna,
Błądząc myślami poza tłumu wrzawą,
Stoi żeglarka. Źrenica wilgotna
W przestrzeń gdzieś patrzy wpół dumnie, wpół łzawo,
I widzi może zórz przyszłych wybuchy,
I sprawiedliwość, pojętą przez duchy.



TARCZA SCYPIONA



Et juvenis fuit — et coelebs — et victor.
(Valerius Maximus).

I.

Przeszłość, zwinięta jak pergamin stary,
Z kipiącem życiem nie wytrzyma miary.
Kielich łez swoich i swoich zachwytów
Wypiła do dna, i jest jako słońce,
W ogniach zachodu cicho zstępujące
Z purpurowego tronu, z góry szczytów...
Chwila obecna stopę swą młodzieńczą
Stawia na bluszczach, co jej groby wieńczą
I wznosząc puhar upojeń dla świata,
Jak orzeł w skrzydła potężne uderza,
Porywa ludy, walki i przymierza,
I z hasłem wieku swojego ulata.

Przeszłość — ruina, rozsypane grody
Zagasłe gwiazdy, przeżyte narody,
Zatarty napis, co tłumy odstręcza...
Lecz niechaj śpiewak rękę nań położy

I tchem swym wskrzesi pierwiastek ów boży,
Co się w ludzkości jak nić złota wije, —
A oto dawno zapomniane słowo
Nabiegnie barwą, niby krwią serdeczną,
I będzie, jako ta wiosenna tęcza,
Nagle rzucona w chmurę brylantową...
Gwiazdy zapłoną, ruina ożyje
I duch poczuje, że przeszłość jest wieczną.

II.

W drżącej, błękitnej Rodanu zatoce,
Drobna się łódka jak ptaszek trzepoce...
Wiosenne wody przybrały z gór stoków
I z rozpłakanych deszczowych obłoków,
I nowe wiry zerwały się z szumem,
Kręcąc się, niby zaklęte wrzeciona,
Co przędą tęcze i promienie słońca...
Piany się na brzeg cisną białym tłumem,
A odepchnięte od skalnego łona,
Drżą i rozbite w lekkie, srebrne puchy,
Błądzą po fali jak te chwiejne duchy,
Które i ziemia i niebo odtrąca.

Na brzegu wiosło porzucone leży
I szmat ubogiej, rybaczej odzieży,

I sieć zmoczona węzłami lnianemi
Gniecie puszyste mietlice i trawy...
A słońca promień padając jaskrawy
Pomiędzy lśniące, jako jedwab, skręty,
Perełki wody na sznurach jej drżące
Które w Rodanie były błękitnemi,
Tak ubrał w dziwnych kolorów tysiące,
Że wydawały się jako dyamenty,
I jak opale, i jako rubiny,
W bajecznym jakimś cudownym połowie,
Na jasność dzienną dobyte z głębiny.
Perły te, w okach rozwieszając tęcze,
Były jak srebrne owe mgły pajęcze,
Które jesienią majaczą w dąbrowie...
Lub jak łzy wielkie w źrenicy stojące,
Któremi płaczą w milczeniu tysiące.

A sieć i wiosło, i odzież rybacza,
I łódka, która, o spienioną falę
Trącając lekko, pierś swą ledwo macza,
Niby w pieszczocie oddanej niedbale, —
Wszystko to, na czem błękit nieba świeci,
Jak tajemnicza zasłona ołtarza,
A na co, w dumy poczuciu głębokiem,
Przechodzień ledwo chciałby rzucić okiem, —
Wszystko to, biedne, zużyte wytarte
I tylko tyle co krwawa łza warte,

Wiosło i odzież, i łódka i sieci,
Są wielkim skarbem — wielkiego nędzarza.

On się docisnąć wśród ludzkiej gromady
Nie mógł do chleba innego; więc, cichy,
Odszedł na stronę. I gdy godownicy
Życia wznosili kipiące kielichy,
Stał nagi, głodny spragniony i blady...
Aż związał sieć swą i zbił łódkę małą,
Wystrugał wiosło, i odtąd wśród trudu,
Z kapryśnej fali wyławiał kęs chleba...
I tylko śledząc wiecznie tajemnicy
W głębiach wód rwących, źrenicą zdrętwiałą
Odwykł spoglądać na lazury nieba,
Tylko pracując, przestał czekać — cudu.

III.

Lecz cud się właśnie stał! Tu, dziś, przed chwilą...
Tam, kędy Rodan, jak ptak biały, leci
Przez skalne progi, co próżno się silą
Namiętny nacisk ten powstrzymać wody,
Blady nasz rybak zarzucił swe sieci
I w smutnych myślach tonął nędzarz młody.

Ach, kiedy starość zgrzybiała i drżąca,
Zdala od życia rozkoszy i bólów,
Jako roślina żyje wkorzeniona
Siłą nałogu do ziemi tej łona
Nic już nie pragnąc prócz chleba dla ciała,
Mniej to jest strasznem... Lecz gdy młodość świeża,
Z której sam Bóg chciał dać swej ziemi królów,
By jako orzeł leciała do słońca
I świat ten piersią własną naprzód pchała,
Gdy taka młodość kwitnąca, swobodna,
Zamiast żyć duchem, musi, nakształt zwierza,
Wyłącznie o tem myśleć, że jest głodna, —
To tak jest smutnem, jak gdyby skowronki,
Co się trzepocą nad pola i łąki,
I błogosławią pieśnią nasze skiby,
Nagle wprzęgnięto do pługa... Jak gdyby
Gwiazdy zebrano na ognisko z nieba...
Jakby kto duszę sprzedał za kęs chleba!

Zadumanemu ociężał sznur w dłoni:
Sieć poszła głębiej, a łódka skrzydlata,
Siostra jaskółki tej, co nad nią lata,
Już jej błękitnym gościńcem nie goni,
Lecz okręciwszy się около wiosła,
Jak tanecznica na gibkiej swej nodze,
Nagle, jakgdyby schwytana na wodze,
W cichej zatoki srebrne piany wrosła.

Zdumiał się rybak. Tam, na dnie głęboko,
Jakoby wielkie, wpółzamknięte oko,
Księżyc w swej pełni utopiony leży...
I twarzą martwą, senną i pobladłą,
Wskróś srebrzy jasne zatoki zwierciadło,
Jak dla lepszego odbicia wybrzeży...
Zerwał się rybak, sznur sieci napręża
Dwie sine smugi wzeszły mu na czoło,
W tył przegiął ciało, całą siłą młodą
Sieć swą prowadzi, jak nurka pod wodą...
Zrazu, szerokie zakreśliwszy koło,
Brzegi jej coraz zaciska i zwęża,
Aż pochwyciła gwiazdę niby w dłonie,
I dziwny połów wyniosła przez tonie.

Rybak plon srebrny ciągnie na brzeg ślizgi,
Z ramion młodzieńczych pozbywszy siermięgi
I wiosło w trzciny rzuciwszy niedbale...
A fala gniewne zataczając kręgi,
Szle za nim posły swoje, białe bryzgi
I pękające w milion tęcz opale
Wzdętych kropelek, które mu na głowę,
Iście królewskie, bo jednochwilowe,
W promieniach słońca zwijają korony.

Tajemną zdobycz uwolniwszy z sieci,
Spojrzał i z dziwu skamieniał, jak głazy...

Przed nim, pamiątka odległych stuleci,
W napisy jakieś ryta i obrazy,
Leżała srebrna tarcza, oplątana
W długie, jedwabne porostów włókienka...
Tarcza błyszcząca, jakoby ulana
Z promieni, które w pełnię do okienka
Cicho się w nocy skradają, i psotne, —
Całują usta senne i wilgotne.
Czyją pierś kryła przed laty? — Któż zgadnie!
Milczą dla tłumów jej zatarte godła...
Może tam kiedyś w chłodnej głębi na dnie,
Z Rodanem ciche rozhowory wiodła
I rapsod jakiś bohaterski, stary,
Do jego szumów dostrajała miary.
Lecz tu pod okiem ciekawych tysiąca,
Co się cudowi przypatrzeć zlecieli,
Leży bez głosu, sztywna i milcząca
W swojej dziewiczej hardości i bieli,
I tajemnicą od siebie odtrąca
Brzmiących zagadek ciekawych czcicieli.
Tylko, gdy rybak powrócił do chaty
I srebrną tarczę postawił przy progu,
I senny upadł na twardym barłogu,
Wtedy, jakgdyby chór duchów skrzydlaty
Wzleciał, wśród ciszy tej nędznej ustroni...
Jakieś się szepty i szmery rozwiały,
Dalekie głosy, bojowe okrzyki,

Wojenne hasła, strzał błyski, szczęk broni,
I w jeden akord stopiwszy się dziki,
Wśród szumu orłów lecących muzyki,
Pieśń grzmiącą starej zapomnianej chwały
W srebrzystych blaskach tarczy tej śpiewały.

IV.

Noc. Kartagina jako stos się pali,
Ciskając w niebo iskry, gwiazdy, słońca,
I rozwichrzone komety z korali,
Które, jak ptastwa ciżba latająca,
Tłumnie się w niebo skrzydły płomiennemi
Rwą z gniazd ognistych, syczących przy ziemi,
I krzesząc smugę poza sobą jasną,
W głębinach morza toną, pełzną, gasną.

O nocy! małoż tobie srebrnych globów,
Co drżą wśród cieniów twoich tajemnicze?
Trzebaż ci jeszcze rozpłomieniać grody
I z zwyciężonych ludów palić znicze,
I na stos rzucać wolność, krew, swobody,
I łuną zdradzać czarną nicość grobów?...
O nocy! krwawa wspólniczko płomieni,
Morów, podstępów i nieszczęść i zbrodni!
Czyż nigdy blade światło twych pochodni

Zgrozą i wstydem się nie zarumieni?
Czyż zawsze, w płaszcz swój owinięta blady,
Kołysać będziesz drzemiące plejady,
Jako ta matka z rozpaczy szalona,
Co trupa dziecka przytula do łona
I zasłuchana w śmierci martwą ciszę,
Śpiewa mu piosnki i do snu kołysze...

Gród zwyciężony, w ogniów swych koronie,
Płomiennych wężów opasany pękiem,
Jak król boleści, w straszliwej purpurze,
Zasiadł na zgliszczów i rumowisk tronie,
I wsparł się, chwiejąc, na zgwałconym murze,
Na wyłamanych bramach i okopach,
I był, jak gdyby skamieniałym jękiem,
Jakby krwi plamą rzuconą w przestrzenie,
Która tron Boga plami w straszne cienie...
Morze, rozdarłszy pian swych szatę białą,
Jak niewolnica, tuż przy jego stopach,
Niepocieszone w żalu swoim, łkało,
Wzniesioną piersią tłukąc się o brzegi...

Komu ty, nocy przerażeń i klęski,
Tulisz dziś oczy w sen cichy, sen błogi?...
Zwyciężonemu u bezsennych powiek
Migają widma rozpaczy i trwogi;

A tam gdzie orzeł ulata zwycięski,
Nad rzymskich legii błyszczące szeregi,
Gwar pieśni, śmiechów, okrzyków wybucha,
Jak oddalona burza jakaś głucha...
Tak idzie, walcząc, przez życie swe człowiek:
Tryumf i rozpacz, szczęście i tęsknota
Jednakim wichrem duszą jego miota.
W rozkwicie złudzeń, w nadziei pogrzebie,
Nigdy nie zdoła posiadać sam siebie.
I chyba wtedy ukoi się w duchu,
Gdy cichy spocznie bez głosu, bez ruchu,
Jako szermierze, co szańców tych strzegą
Śmiertelną strażą aż do dnia sądnego.

W białym namiocie, co skrzydła swe dumne
Rozwinął zdala od gwaru i szumu,
Patrząc na zgliszczów dymiącą kolumnę,
Stał Scypion, wzniosły samotnik wśród tłumu.
Blaski tryumfu na czole mu gasną,
W źrenicy iskry ostatnie się palą,
Krew w pulsach bije chłodniejszą już falą,
Pierś uciszona spoczynku pożąda,
Głębszem, pełniejszem unosząc się tchnieniem...
Wódz młody czuwa i orlem spojrzeniem
W noc tę, od ogniów, jak dzień krwawy jasną,
Z szlachetnym smutkiem zwycięzcy pogląda.

On stoczył dzisiaj dwie walki zacięte:
Jedną z tym ludem, zrozpaczonym klęską,
Którego łuki zdały się napięte
Wściekłością piersi, broniącej swobody, —
Którego strzały, parte przez cięciwę,
Od bicia serca łuczników drgającą,
W legiony Romy leciały jak żywe,
A każda była żmiją kąsającą,
Przekleństwem, pomstą, rozpaczą, zwątpieniem,
I strącającem w noc wieczną ramieniem...
A drugą walkę bohater ten młody
Stoczył sam z sobą, z własną piersią męską,
Walkę okropną, straszną, choć milczącą.

Afrykańskiego słońca płowe żary,
Co leją złoto roztopione w żyły
I w mozgu dziwne wywołują mary,
I w piersiach budzą żądzy głuche siły, —
Żary te straszne, namiętne, złowieszcze,
Co, odrzuciwszy obłoków zasłonę,
Drżą na lazurach nagie i spłonione,
Ssąc oddech ziemi i wilgoć jej łona,
W dziewiczej piersi młodego Scypiona
Zbudziły dziwne płomienie i dreszcze.
Jakaś potęga zawładła nim nowa,
Istotę jego łamiąca we dwoje...
Jakiś bóg, dotąd nieczczony, nieznany,

Rył mu na sercu nagiem prawo swoje,
I objawiał się w oddalonym gromie,
I niósł ze sobą wichrów niepokoje...
A tak potężną była jego mowa,
Że Scypion w ciszę nocy zasłuchany,
Przestawał myśleć o wojnie, o Romie,
O Kartaginie, co jak męczennica,
Na wielkim stosie dziejów się paliła,
I drżał, i szeptał przerywane słowa,
I tak się płonił jak młoda dziewica,
Co po raz pierwszy: »kocham« wymówiła.

V.

Czy znasz tę chwilę srebrzystą, różową,
Gdy wschód unosi zasłonę nad głową
Śpiącej jutrzenki i zwolna odchyla?
Obłoczki lekkie, jak skrzydła motyla?
Gdy ranek, w białe zasłony spowity,
Dyadem rosy kładzie w ptasząt gwarze?
Gdy ziemia ze snu ockniona, marząca,
Tęskne ramiona wyciąga w błękity,
Z mgły wznosząc srebrne, dymiące ołtarze,
Na cześć wielkiego bóstwa życia — słońca?...
I czy znasz chwilę, gdy dziwna tęsknica,
Której nikt nazwać, ni ująć nie zdoła,
Łunami świtu wybija na lica

I upojeniem opromienia czoła?...
Czy znasz ty chwilę tę, przed burzą samą,
Gdy wicher gońcem widnokrąg oblata,
A słońce z twarzą bladą i zagasłą,
Zda się upiorem zjawionym z za świata?
Gdy grom daleki potężnych salw hasło
Przesyła drżącej w wnętrznościach swych ziemi?
Gdy cień zapada płachtami grubemi,
A pierwsze krople dżdżu perłową gamą
Rozsypują się krągłe, 'ociężałe,
I od błyskawic łuny złote całe?
I czy znasz chwilę ucisku i trwogi,
Oczekiwania na zgrozę nieznaną,
Gdy duszę, wężem płomiennym smaganą
Obłęd porywa w wir ciemny, złowrogi?

Taki świat cichy marzeń i tęsknoty
I taka burza w zawiązku swym wrząca,
Jako dwie czary, z których jedna mieści
Napój słodyczy i upojeń złoty,
A druga, pianą rubinów kipiąca,
Pełna rozkoszy szałów i boleści,
W noc tę zmieszane, jak dwie wrogie siły,
Usta Scypiona zarzewiem paliły.

Dumał, i dziwne bezsenne marzenia
Przykuwały go do namiotu wnętrza...

A ta noc klęski, łun pełna, bez cienia,
Wydała mu się od ognia gorętsza,
Od lwa potężniej za piersi szarpiąca,
I taka tęskna, i taka bez końca,
Że padł na łoże zmęczony, omdlały
I czuł, jak w mroku oczy mu pałały.

Wtem gwar się rozległ u wnijścia, i nagle
Purpurowego namiotu zasłona
Wzdęła cię, niby wichrem parte żagle...
A legionisty żelazne ramiona
Wepchnęły w ogniach schwyconą Kartagi
Brankę, co jako srebrna nocy strzała,
Którą z błękitów księżyc ciska ziemi,
Błysnęła w cieniach, rąbkami białemi
Kryjąc panieńskie wdzięki swego ciała,
Tak, jak się w listki kryje pączek nagi...

— »Boski Scypionie!« — rzekł pretor — »W zdobyczy
Nie wziąłeś części ni w srebrze ni w złocie;
Niechże ten kwiatek ponętny, dziewiczy,
Rozpędza nudy w samotnym namiocie...
Piękna! patrz tylko!... — I dziki atleta
Z ramion jej szatę pochwycił przemocą...
— Scypion, jak gdyby w tem białem zjawieniu
Poznał niejasnych marzeń swych osnowę
I mógł je wreszcie nazwać po imieniu,

Rzekł głosem cichym, zdumionym: »kobieta!«
I jakby wstydząc się przed ciemną nocą
Wzruszenia swego, spłonął... i w milczeniu
Skłonił swą dumną, bohaterską głowę,
I hołdem zeznając przed sobą i światem,
Że piękność także bywa majestatem,

Pretor znikł w zmierzchu, który jak wąż czarny
Opasał namiot mrocznemi kręgami,
Błyskając ognisk złocistą źrenicą,
A gwar obozu burzliwy, niekarny,
Był tłem jaskrawem dla ciszy, co blada
Z palcem na ustach milczących zapada
Ponad namiotu drgające szkarłaty,
Gdzie wódz młodzieńczy z porwaną dziewicą,
W tej nocy zgrozy zostali się sami.
— Siła i piękność: dwa berła, dwa światy.

Scypion głębokiem, gorącem spojrzeniem
Objął tę białą, co nagle spłoniona
Młodej krwi swojej królewską purpurą,
Na piersi nagiej złożyła ramiona
I osłoniła się wstydem, niby chmurą,
Walcząc z tajemnem, nieznanem wzruszeniem...
Scypion drgnął, spojrzał, zgryzł wargi młodzieńcze,
Wyciągnął dłonie przed siebie, jak we śnie

Wzrok mu zasnuły dyamentowe tęcze
I nagle w milion iskier się rozprysły...
I poczuł dziwne w żyłach swoich szumy,
I świat lecący przez otchłań błękitną,
I zaostrzone, jako strzały, zmysły...
Nieznane wonie, mar dziwacznych tłumy,
Kwiaty ogniste, co w otchłaniach kwitną,
I upajał się z wrzącego kielicha,
Którego nigdy nie dotknął ustami...
Było mu czegoś błogo i boleśnie.
I stał tak niemy, chwiejący się, blady,
A noc, zgasiwszy gwiazd swoich miriady,
Tuliła zdradnie czarnemi skrzydłami
Dwa te walczące duchy, szepcząc z cicha:
...»Jesteście sami!... Patrz! Jesteście sami!...«

I w tym samotnym dotychczas namiocie
Stanął duch straszny, w płomieni koronie,
I podniósł czoło pałające żarem,
Cały w błyskawic i piorunów złocie
I rozprzestrzenił ponad ziemią dłonie,
A ziemia znikła, jak bańka zdmuchnięta...
I w niebo wionął skrzydeł swych sztandarem,
A niebo znikło, jak karta zwinięta...
I dźwignął swoje ciało gorejące
Stłumionym ogniem, jak zgaszone słońce,
I zapełnił niem czas i przestrzeń całą,

I nic prócz niego nie było na świecie,
A w tej nicości ich dwoje zostało...
I zasłonił im mdlejące źrenice,
Cały się w nagłe mieniąc błyskawice,
W serca drżącego przyśpieszone tętno,
W jakąś pieszczotę niepomną, namiętną,
W woń konającą na zdeptanym kwiecie...

Ach! czemu w piersi, co ma być świątynią,
Żądze budują sobie tron ponury
I zasiadają go burzliwą zgrają?...
Czemu krwi fale, które wzruszać mają
Najczystszych uczuć struny kryształowe,
Wznosząc w niej dzikie i namiętne chóry,
Wyziewem burzy oczadzają głowę
I z wolnych duchów — jeńców sobie czynią?
Czemu pragnienia powstają przemocą
Nieubłaganą, tyrańską, straszliwą?
Czemu się serca rwą w piersiach, trzepocą
I chcąc ulecieć w błękity, spadają,
Jak ptak zraniony z skrzydły złamanemi?
Jaki duch ciemny z tych zdrojów wyschniętych,
Z gwiazd spadłych, z pąków stoczonych w rozkwicie,
Z mętnych porywów, z nędz jaskrawych ziemi,
Z chwil upojenia rozkosznych, przeklętych,
Z płomieni, które wypalają życie,
Zbiera w wieczności gorejące żniwo?...

Nagle w namiocie zjawił się duch drugi,
A z nim ocknęły się poranne świty,
I zaszumiały pieśnią srebrne strugi,
I z cieniów blade wyjrzały błękity...
Senne marzenia powiały nad głową
Ziemi, swą szatą mglistą i tęczową,
Ognie przygasły, zastygły wulkany,
Z cichym szelestem opadało morze,
Jeleń u źródeł gasił swe pragnienie,
Dziecię gdzieś przez sen wyszeptało: »Boże!«
Ptaszki zbudziły drzewa swym szczebiotem,
Od chłodu rosy drżała róża polna,
Przejrzysta zorza purpurą i złotem
Wschód malowała na przybycie słońca...
I ucisk serca długo wstrzymywany,
W ciche, ożywcze uleciał westchnienie...
Ocknął się Scypion. Wyciągnął ramiona
Do pięknej branki, co stała, milcząca,
Jutrzennym świtem cała zróżowiona,
I blednąc, szepnął z cicha: »Jesteś wolna!«
A wziąwszy tarczę bohaterską swoją,
Osłonił ciało spłonionej dziewicy,
Jakby czci własnej dyamentową zbroją,
I rzekł: »W pokoju idź do swego grodu
I powiedz mężom swojego narodu,
Że Scypion uczcił wolność — w niewolnicy«.

Wyszła w milczeniu. Straże obozowe,
Widząc ją wodza okrytą puklerzem,
Zdumione, nisko pochylały głowę.
Tak szła, chłód nocy pijąc tchnieniem świeżem,
Aż tam, gdzie napół przepalona brama,
Przed jej stopami rozpadła się sama,
I gdzie wśród dymów co mgłami sinemi
Ostatnie ognia przygasały słupy,
Z wchodzącem słońcem weszła ponad trupy,
Jak poseł ciszy i pokoju biały.

Ojciec jej, stary Celtiber zsiwiały,
Widząc ją w całej dziewiczej ozdobie
Wolną i czystą wróconą znów sobie,
Kazał płatnerzom kuć ciężkiemi młoty
Srebrzystą bryłę, aż z białego łona
Wyszła przedziwnej siły i roboty
Tarcza, jak pełnia jasnego księżyca;
A na niej, pośród godeł tajemniczych,
Kwietnych opasek i ozdób złotniczych,
Rozkazał wyryć to słowo: »Dziewica«.
I tarczę ową słał w obóz Scypiona.

VI.

Gdy orły rzymskie, latając po świecie
Gubiły pióra z swych skrzydeł potężnych,

A mokry Rodan unosił na grzbiecie,
Tysiące statków i mężów orężnych,
W nagłej przeprawie przez drogę tę szklaną,
Spojrzeniem wodza, jak burzą, smaganą,
Tam, kędy fale, jak dzikie brytany,
W srebrnych obrożach uwięzione warczą,
W śmiertelny uścisk przepaści schwytany
Statek zatonął z płomienną tą tarczą.

I odkąd chłodne błękitne otchłanie
Zwarły się nad nią, — jak gwiazda strącona
Spała snem cichym w szumiącym Rodanie...
A nad nią burze ogniste latały,
Maczając końce czarnych skrzydeł w wodzie
I wyciągając błyskawic ramiona.
A srebrne piany korowód swój biały
Wiodły, jak sylfy, w noc letnią tańczące,
Kołysząc lekkim ruchem senne łodzie,
Zanim poranne rozbudzi je słońce.
I długi szereg burzliwych stuleci
Przemknął, jak fala, co u brzegu kona,
I tak leżała tarcza ta Scypiona,
Aż ją rybacze wyciągnęły sieci.

Dziś do wielkiego przeniesiona grodu[1]),
I w świetnym gmachu, jak klejnot złożona,

---

[1]) Tarcza ta, wydobyta z Rodanu 1665 roku, znajduje się w gabinecie starożytności w Paryżu.

Zda się być strofą starego rapsodu,
Albo wyrwaną z starej księgi kartą,
Której świat nowy nie rozumie prawie,
Tak w treści swojej jest dla nas zatartą,
A którą pra-prawnucze pokolenie
Mierzy i waży i bada uczenie,
Ukrytej myśli, co śpi tam zamglona,
Przez chłodne szkiełka szukając ciekawie.

Lecz w wieku, w którym płomienne pochodnie
Żądz przepalają wskróś piersi ludzkości,
I w swym ognistym, niszczącym pochodzie,
Krwawym pożarem podsycają zbrodnie;
Gdy, jak dymiąca żagiew, przyłożona
Do podstaw gmachu, nurtują w narodzie,
Łamiące siły szermierzy przyszłości,
Milionem żądeł wypuszczonych skrycie
Obezwładniając myśli wzniosłe ruchy, —
Kiedy użyciem jest tylko to życie, —
Czyż chociaż pieśnią przypomnieć nie warto,
Jak mąż zwycięża i jak walczą duchy?



DEMOS — CEZAROWI

Ave Caesar!... Witaj nowy
Władco świata! Nowy Panie!
Oto chyląc kornie głowy,
Lud, Spartakus ten dziejowy
Szle ci powitanie!
    Ave Caesar! Roma cała
Klaszcze tobie w obie dłonie...
Jaki blask ci w oku pała!
Jaka szata twoja biała!
Jakie rącze konie!
    Wonią wieńce i amfory,
Róże z Pestum lecą krwawe,
Grają światła i kolory,
Idą ludy — gladiatory: —
    Ave Caesar!... ave!...
I jak posąg każdy staje
Przed słonecznym twoim tronem,
I przedśmiertną cześć ci daje...
Nędzne, ciemne, podłe zgraje,
Z czołem pochylonem.
    Ave Caesar!... Jak nam błogo,

Że tak jasne masz oblicze!
Że nam karki depcesz nogą,
Że w arenach biją trwogą
Echa tajemnicze!
  Jak dzień wstajesz rubinowy,
W chmurze łez, i w krwi oparze!
Nad jasnością twojej głowy,
Lata orzeł kwirytowy,
O, boski Cesarze!
  Na twej drodze gaśnie słońce,
Na twej drodze rzeki krwawe...
Oto usta konające
Szepcą tobie sine, drżące:
— Ave Caesar!... Ave!...



III.

KARTKI Z RAPTULARZA

A ZA TEGO KRÓLA JANA...

A za tego króla Jana,
Co to po łbach bił pogana,
Przyszły posły i rozjemce:
— Ratuj królu! Giną niemce!

Turek na nas następuje,
Szyjom naszym miecz gotuje,
Naszym wieżom — księżyc w nowiu,
Naszym dziatkom — chrzest z ołowiu!

Jak zdobędą Wiedeń stary,
Krwawo poczną uczyć wiary,
I postawią ciężkie stopy
W samem sercu Europy!

My — siłami niemieckiemi
Nie obronim naszej ziemi,
Zginiem — knechty i rycerze...
— Ratuj — królu — bohaterze!« —

Król się porwał rozgniewany:
— Wara, krzyknął, bisurmany,

Na to słońce co nam świeci,
Trząść z buńczuków waszych śmieci!

— Miecz mi dajcie!... Hej trębacze,
Niech otrąbion kraj obaczę!
Niech się Polska moja ruszy,
Mocnej dłoni, wielkiej duszy!

— Niech husarya skrzydła bierze,
Niech stalowe lśnią pancerze,
Niech szablice błysną w ręku,
Luzak z koniem, koń w obłęku.

— Za trzy doby hufce ruszą,
I nie spocznę, klnę się duszą,
Aż oczyszczę dom sąsiada
Od szarańczy, co nań spada!« —

Posłyszała Polska króla,
Koń u żłobu uszy stula,
Rycerz ostrzy miecz stalowy
— Kraju miły! bądź mi zdrowy!

Trąbią trąby w strony świata,
Głos po polu z wiatrem lata,
Szumi Wisła niespokojna,
Bory szumią: Wojna! Wojna!...

. . . .

Za trzy zorze i trzy noce,
Polska wiara Turka grzmoce,
Aż się szczerbi kosa śmierci,
Na buńczukach z końskiej sierci...

Grzmią harmaty, świszczą kule,
Z dziwem stają obce króle,
Wyciągnęli długie szyje,
Patrzą — jak to Polak bije.

Biały koń się prze pod Janem,
Po tem polu krwią zalanem,
Strzał tureckich błyski chwyta
Na wzniesione w skrach kopyta.

Łysa-góra[1]) we mgłach stoi,
Noc z niej schodzi w czarnej zbroi,
Kładzie rękę na powieki,
Nie do świtu — lecz na wieki.

Turek włosy targa w brodzie,
Król rumaka piętą bodzie...
— »Hej! na obóz! Naprzód wiara!«
Poszła koniom z nozdrzy para.

---

[1]) Kahlenberg.

Jak wiatr lecą, jak grom walą,
Dziw, że świata nie obalą,
Dziw, że się utrzymać mogą,
Koń kopytem, mąż ostrogą.

. . . .

— »Naprzód!«...
Wzięli namiot wroga.
Co miecz puścił — bije trwoga...
A po świecie okrzyk leci:
— Niechaj żyje król Jan Trzeci!



OPOWIADANIE RANNEGO

Zimny poranek ocucił mnie rosą.
Otwarłem oczy, próbując oddechu...
Na piersiach moich głowę złotowłosą,
Pełną młodzieńczych marzeń i uśmiechu,
Trzymał towarzysz broni, chłopiec młody,
Co padł już po mnie, a tak ciężko padał
Jak ścięte w lesie młodych dębów kłody...
Ten, co mu w serce cios śmiertelny zadał,
Miał oko wprawne i rękę tak pewną,
Że chłopiec upadł i stężał, jak drewno,
Zanim konania chwyciły go dreszcze;
Bo uśmiech rzewny miał na ustach jeszcze,
I słówko jakieś nawpół wymówione;
I tylko oczy ku niebu zwrócone,
Matowym blaskiem świeciły w przestworze,
Zdając się wołać: »Umieram, o Boże!«

Nie miałem siły usunąć tej głowy
Z piersi zranionej... Słoneczny blask płowy,
Raził mi oczy zgryzione od prochu...
Chciałem je przetrzeć, poruszyłem ręką,

Krew mi się z rany rzuciła, i cienką
Strugą uchodzić zaczęła potrochu...
Czułem, że jakoś ratować się trzeba,
Lecz myśl zmącona nie dawała rady...
Spojrzałem w górę, a na skrawku nieba
Były, jak gdyby rany i krwi ślady,
I chmury, jako ciała rozciągnione,
I dym, i oko Boga, zapalone
Gniewu pożogą, patrzało na ziemię,
Jakby szukając miejsca do pocisku...
I tak leżałem na tem bojowisku,
Sam nawpół martwy.
Z lewej, z prawej strony,
Twarze poległych świeciły pod słońce
Białością śmierci okropną, zdrętwiałą...
A krew zakrzepła, jak koral czerwony,
Plamiła czoła, lub w sznurki błyszczące,
Szkaplerzem śmierci owijała ciało...
A cicho było tak w tem polu klęski,
Żem słyszał przelot jaskółek zwycięski
Co się ponad niem ścigały z wietrzykiem...
A choć nie padło tam ni jedno słowo,
Cisza ta przecież zdawała się krzykiem,
I jakąś straszną sądów bożych mową.

W powietrzu drgnęło... Przywabiony łupem,
Szumiąc skrzydłami, sęp wzniósł się wysoko,

I chwilę zawisł, jak całun nad trupem...
A jego krwawe i okrągłe oko
Błysnęło w górze straszne, pałające,
Pomiędzy niebem, a ziemią — jak słońce.
Spadł, i hakami szponów swych wszczepiony
W rozbitą czaszkę, szarpał dzióbem krzywym
Mętną źrenicę trupa, nad nieżywym
Pastwiąc się, jakby zemstą był trawiony...
I znów się cisza nad polem obniosła
Olbrzymią skargą ust, zwartych na wieki...
A czarne kawki, jak płaczki z rzemiosła,
Jęły zawodzić z suchemi powieki,
I tam leciały, gdzie słońce zapada,
Wołając chórem: »biada! biada! biada!«

Wtem jęk się cichy ozwał z prawej strony.
Ktoś westchnął: »Ałłah!« i turban zielony
Uniósł się ponad stratowaną ziemią,
A za turbanem podniosła się głowa,
I pierś szeroka, i reszta tułowa.
Olbrzymi Nizam, z czarną jak noc brodą,
Stanął i patrzał, jak umarli drzemią...
A potem chwiać się zaczął, jak pijany.
Bo krew z odkrytej buchnęła mu rany,
Śmiertelną chustą czerwieniąc pierś młodą...
Więc zerwał kaftan z lewego ramienia
I zwinął rękaw i w ranę go wcisnął,

A w prawej ręce kindżał mu zabłysnął,
Jak nów, — był przecież bledszym od spojrzenia
Zmartwychpowstańca, co okiem tygrysa
Patrzy na trupy, krew zda się wysysa
Z rozbitych piersi wrogów Mahometa...
Do najbliższego schylił się atleta,
I tchu w nim szukał i znalazł go pono,
Bo mu pchnął kindżał w niezakrytą szyję
I krwi wypuścił kaskadę czerwoną,
I wstał z uśmiechem, i szepnął: »nie żyje!«
I wlókł się chyłkiem, krwawiąc własne ślady,
Płomienny pomstą, krwi utratą blady,
I szukał tchnienia, co w piersiach zamiera,
Tak przypadając cicho, jak pantera.
A gdy dosłyszał, że kto jęknął z cicha,
Że trup się ruszył, że drgnął, że oddycha,
Zrywał się z krzykiem szału i boleści
I kindżał w serce pchał do rękojeści.

A był tak straszny, jak te mściwe duchy
Hunnów, co walczą aż po śmierci jeszcze...
Dzikiego zwierza miał zdradzieckie ruchy,
Upiora nocy źrenice złowieszcze;
Na czole, twarzy, krwi zaskrzepłej strugi,
Ponure piętna trupiego uścisku,
I tak się wlokąc po tem bojowisku,
Nad śmierć groźniejszy, zabijał raz drugi.

Chwilami słabnął, przestawał roboty
I za pierś chwytał, i chwiał się, i mienił,
Czoło śmiertelne rosiły mu poty,
Kaftan krwią z rany przesiąkł i czerwienił
Pas, co mu pasze biodra wełną białą,
I zda się życie z niego ulatało...
Lecz wnet się krzepił. Mdlejące źrenice
Rozpalał ogniem, jako dwa księżyce,
I wężem pełznąc między ciał tych kupy,
Dobijał rannych.

Już tylko dwa trupy
Nas rozdzielały. Jakby urzeczony,
Nie mogłem oczu oderwać od strony,
Gdzie się poczołgał ten Nizam straszliwy...
I tracąc oddech, czułem nawpół żywy,
Jak kindżał jego pierś mi nawskróś wierci
I serca sięga... Wszystkie męki śmierci
Oczekiwanej, nieuchronnej, blizkiej,
Tak mnie chwyciły w żelazne uściski,
Żem głośno jęknął: Boże!

Nizam dziki
Dojrzał mnie, skoczył i wyciągnął ręce,
Rzucając w przestrzeń wściekłości okrzyki...
Lecz nagle, jakby w dojmującej męce,
Zwinął się w sobie i przycisnął ranę,
Z której buchnęły długo wstrzymywane

Czarnej krwi strugi... zachwiał się, rękoma
Chwytając próżnię przed sobą... na czole
Śniada mgła śmierci osiadła widoma...
Oczy zagasły... pasując się z skonem,
Zerwał się jeszcze, zatoczył półkole
I cisnął we mnie skrwawionym kindżałem,
I trupa tego, którego dźwigałem,
Przeszył nawylot żelazem czerwonem.
Był to ostatni cios tej dzikiej dłoni...
Jak stał, tak runął u nóg mych z łoskotem;
A twarz przedśmiertną łuną mu się płoni,
Potem sinieje, potem blednie, potem
Robi się sztywna, przeraźliwie biała...
I skonał Nizam, szepcząc: »Ałła!... Ałła!«...



GRUNWALD

Z drogi, z drogi tej przeszłości,
Co z zamierzchu i z nicości
Cała krwawa,
Zmartwychwstawa,
Jak zwycięstwa duch!
Oto grzmiąc, jak orkan, leci
Zawierucha tych stuleci,
Co pod zbroją,
Wrzące stoją,
Śledząc mieczów ruch...
Uskrzydlona i pancerna,
Hasłom bratnim jak śmierć wierna,
W pole klęski
Zastęp męski
Z różnych wiedzie stron...
I nie zgadnie wróg krzyżacki,
Czy go miecz dosięże lacki,
Czy go ramię
Czecha złamie,
U Litwina nóg.

IV

MOJŻESZ

Stal goreje, oszczep chrzęści,
Topór warczy w chrobrej pięści...
Tam pierś naga
Tchnieniem smaga,
Nim dłoń zmierzy cios...
Okrzyk walki w przestrzeń bucha:
Szum krwi w żyłach, wrzenie ducha,
Rozmach ręki,
Zgrzyty, jęki,
W jeden zlewa głos.
Hej!... zapłata to odmienna,
Niż Dobrzyńska ziemia pszenna!
Krzywdy stare
Poza miarę
Wykipiały krwią...
Precz z drużyną stąd służalczą!
Nieśmiertelni tutaj walczą;
W szczęku, w pyle,
Na tę chwilę
Kładą pieczęć lwią!
Któż prawnucze serce zmierzy
Z wielką piersią tych rycerzy,
Grzmiących w blasku,
W zgiełku, w trzasku,
Jako orłów ród?...
Kto dziś zdzierży takie boje?
Taką sławę, takie zbroje?

Drzewce stare,
Żywą wiarę?...
Kto dziś stworzy cud?...
Las zielony patrzy zdala,
Jak ta burza się przewala;
W krwi i w dymie
Wielkie imię
Dzień ten daje mu...
Pył, co leci w błękit żywy,
Szum sztandarów, świst cięciwy,
W dziejów karty
Niezatarty
Pomnik wpiszą chrztu.
Z drogi! z drogi!... Któż dotrzyma
Rozpędowi sił olbrzyma,
Co w dniu chwały,
Zbrojny cały,
Pogromem się zwał?
Walczy — miecz się zrasta z dłonią...
Pędzi — żywą jest »pogonią«...
On przez wieki,
W świat daleki
Sławę niesie w cwał!



MOJŻESZ

Odszedł, jak przyszedł — w gromach.

— Panie... Panie...

Wróć się! odwołaj, w błyskach i piorunach,
Ognistej klątwy gorejące słowo,
Które nad moją przerażoną głową
W wichrach przelata — i w płomiennych łunach
Grzmi po przepaściach niebios: »Niech się stanie!«
Wróć się o Panie!...

...Oto się oddala
Na czterech wichrach spętanych, jak konie,
W błysk, który w dłoniach dzierży, piorunowy
A za nim chmura, jak czara z korala,
Z której ogniste węże piją, płonie
Od skier skrzesanych złotemi podkowy...

Ucichło. Tylko pustynia łkająca
Tarza się w bólach, jako lwica płowa,
Co ma porodzić lwa, króla tych piasków...
A blade widmo umarłego słońca,
W koronie swoich przygaszonych blasków,
Z grobu chmur czarnych powstaje...

Jehowa!...

Jehowa!... Wróć się!...
                              Cisza. Z burzy proga
Pan wstąpił w wiecznych błękitów swych gmachy.
I tylko w dali mdlejące przestrachy
        Niosą tęczowy płaszcz Boga.

A więc to prawda? — Ja niewysłuchany,
Jako niewolnik odepchnięty nogą,
Upadam piersią na wrzące te piaski,
I darmo błagam litości i łaski...
A latające nademną orkany,
Jak sępy, które krążą dookoła
Trupów, potęgę kradną z mego czoła,
A z źrenic moich kradną krwawe blaski,
A z piersi moich kradną jęk i łkanie,
I przepalają mi kości pożogą
Gniewu twojego!
                        ...Panie! Panie! Panie!...
A więc to prawda? — Obiecanej ziemi,
Do której lud mój wiodłem lat czterdzieści,
Wśród upalenia pustyń i boleści,
        Pomiędzy bogi cudzemi...
Tej ziemi, którą w gwiazd północnych straży,
Nad uśpionemi czuwając widziałem,
Jak ten co wielki dzień tryumfu marzy,
I spać nie może, budzony nadzieją
Życia całego, i biegnie na szczyty,

By prędzej dojrzeć zórz jasność i świty,
Co mają wiekom przyszłym błogosławić...
Tej ziemi którą czuję w mej źrenicy,
We mgłach tych sinych, co tam błękitnieją
Nad Chanaanu wodami srebrnemi,
Wielkiego celu mych prac i tęsknicy,
Nigdy nie ujrzę oczyma własnemi!...

A więc to prawda?... Głos, co światy stworzył,
I od ciemności odciął jasność dniową,
Rozgrzmiał ten wyrok tu, nad moją głową
I piorunową pieczęć mu przyłożył!...
To, o com walczył, to czego pożądam,
Nigdy w żywocie moim nie oglądam!...
Dusza się moja umniejszy i skona
Nienakarmiona i nienapojona...

O! bogdajżebym, bracie niewolniku,
Nie widział twego grzbietu smaganego!
Bodajbym nigdy nie usłyszał krzyku
Niedoli ludu mojego!
O! bogdaj mi się, wśród nocy milczenia,
Gdym w srebrne gwiazdy patrzał zadumany
Nie śniły krwawe skrzywdzonych kajdany
I uciśnionych jęki i westchnienia!
Bogdajbym, zanim stanąłem przed królem,
Dziesięciorakich klęsk przyodzian mocą,

Strawił się ludu pragnieniem i bólem,
Jako mdlejący dzień — nocą!
Bogdajbym nigdy w samotnej zadumie
Od losu mego nie żądał był znaku!
Nie widział Pana w gorejącym krzaku,
Ni głosu jego słyszał w wichrów szumie!

A oto każdy, co pójdzie przed ludem,
By udarować dniem skazańców nocy
Chociażby walczył miłością i cudem,
I wywiódł jeńce z Faraonów mocy,
I kładł swą duszę za bóle ludzkości,
Nim ujrzy chwilę odkupienia błogą,
Przeklęty przez wiek swój — skona!
Ani na skraju nowych czasów stanie
Tą, która drogę wskazywała, nogą...
A kości jego zawieja szalona
Rozniesie z burzą dziejową,
Nim błyśnie jutrznia przyszłości,
Nim to, o które walczył, złote słońce,
W przyobiecanej krainie swobody,
Ludom wzejdzie ponad głową,
I łzy osuszy gorące —
I opromieni narody!

Oto oczyma ducha widzę, Panie,
Szereg posępny, długi, nieskończony,

Cieniów, szarpanych wichrami skwarnemi...
Ja pierwszy pochód otwieram złowrogi,
A po mnie — padną miliony,
Wśród dziejów cierniowej drogi,
U bram obiecanej ziemi,
Nim dzień tryumfu nastanie!

Pójdź teraz burzo! Oto moje włosy
Powstały na mej czaszce rozwichrzone,
A na mem czole stoją krople słone
Krwawego potu! Oto w mych źrenicach
Więcej płomieni, niż w twych błyskawicach!
Ja jestem burzą sam!... Wstrząsam niebiosy
        Potężnym piersi oddechem...
A pod mym wzrokiem gaśnie tęcza blada...
Wicher się zrywa na moje skinienie,
I jak gadzina znów w kłębach opada...
Dwa snopy słońca tryskają mi z czoła...
W prawicy czuję moc cudu!
Duch mój przed siebie przyszłe wieki woła...
Idą — i długim powtarzają echem
Okrzyk niedoli: »Biada! biada! biada!...
Wznoszę ramiona i z Synai szczytu
Zbieram na skronie słoneczne promienie,
        Które zażegłem mym duchem...
Z ognia korony rozwieńczam praw górę,

Rozdzieram szatę mgły srebrnej z błękitu,
Gdzie duchom przyszłości droga...
Oto oblekam monarszą purpurę
Z rubinowej łuny świtu...
I patrzę twarzą w twarz Boga, —
Ja, prawodawca, wódz ludu!

Oto zmącone wichrem pyły blade
Wstają ponad moją głową,
I lekkim wiążą się ruchem
W girlandę szarańczy płową,
Którą ja na czoło kładę...
Oto laska moja trzyma
Zawieszone serca bicie
U króla — i niewolnika...
Oto pod memi oczyma
W krew się mienią zdroje wodne...
Oto jasność dzienna znika...
Straszliwe wstają ciemności,
Słońce gasi tajemnicza
Noc, ludu przestrachem blada...
Oto na skrzepłe oblicza
Szronem trąd biały opada...
Oto ćmy hufiec skrzydlaty
Powstaje z mojego tchnienia...
Czerwony Anioł zatraty
Idzie po najdroższe życie...

Wskróś murów, co strzegą miasta,
Wieje śmierci chusta czarna...
Przed progiem rzuca niewiasta
Zasypane zbożem żarna...
Cieszą się matki niepłodne...
Oto giną pierworodne...
Niema litości,
Ni przebaczenia!...

Ha! jaka cisza... To pustynia słucha
Przelotu ducha!

Powstańcie wichry, unieście mię z sobą!
Zakryj mnie nocy cieniów swych żałobą!
Niech imię moje jako szmer daleki,
Nienalezionem będzie w przyszłe wieki!
Bijcie pioruny w czoło moje harde!...
Pan mnie opuścił! Pan wydał na wzgardę!
Zewlókł mnie z mocy mojej majestatu,
Na urąganie i zelżywość światu,
I ducha swego precz odjął odemnie!
Daremnie wołam i płaczę daremnie...
Oto już znika z prawicy mej siła,
Co głodne manną poranną żywiła...
Oto zamiera w piersiach moich słowo,
Co otwierało skałę granitową...
Oto cofnięta odemnie moc Boża,

Co rozdzielała na dwoje pierś morza...
Oto mi z czoła jasność słońca zbiegła,
Co w obcowaniu z Panem się zażegła...
Oto w noc cieniów uchodzą już blaski
Z przeobrażonej w berło, cudów laski...
Otom jak palma od burzy strzaskana...
W prochu skroń moja u stóp leży Pana...
Ani lud zechce liczyć między wodze
Tego, co łkając padł piersią przy drodze!

Litości, Panie!...
Jam zwątpił na chwilę...
Lecz kiedyż tacy, co ludy swe wiedli
Do celów mglistych, jak kraj ten daleki,
Nie upadali w swej wierze i sile,
I patrząc w przyszłość, nie bledli?
Od brzemion cegły, od taczek, od młotów,
Szli za mną bracia moi niewolnicy,
I ocierali twarz swą z krwawych potów,
A łzy z źrenicy!
Szli za mną, smętni, posępni, zmęczeni,
Wśród spustoszenia krainy niewoli...
Hufiec wybladłych szkieletów i cieni,
Przez pół wierzący tylko lepszej doli...
Jam musiał, jako matka nosi syna,
Na ręku nosić duszę ich omdlałą...

A teraz, teraz, gdy przyszła godzina,
Tutaj mam złożyć me ciało?

Litości, Panie!...
Synai! Synai!
Przemów ty za mną gromów swych językiem
I tablic twoich kamienną wymową!
Pustynio! przemów jękiem swych bezdroży,
Kędy się ranny lew tai!
O gwiazdo nocy, przemów za mną słowo!
Ludu mój, ludu! ach, zbudź się mym krzykiem!
Wołaj do Pana!... Litości! Litości!...
Niech się odwróci odemnie gniew boży!
Niech na tej ziemi, zdobytej tak drogo,
W krainie wielkiej przyszłości,
Jako wódz ludu, pierwszy stąpię nogą!

Z sennych namiotów dolata westchnienie...
Do stóp mych gwiazda obłąkana spada...
W szumach się orłów porywa gromada...
W dali gdzieś łuna gore piorunowa...
Oto czuję twoje tchnienie...
Idziesz...
Jehowa!... Jehowa!



POD DOGALI

Byłem tam z nimi. Niech mnie nikt nie pyta,
Czy duchem we śnie, czy na jawie — ciałem.
Byłem tam z nimi i sam ich widziałem.
A kiedy myślę o tem, płacz mnie chwyta,
I staję przed tym długim, trupim wałem,
A dusza we mnie, jak harfa rozbita.

Ogień mam dotąd w piersi i źrenicy,
Od wrzących piasków tych, na których padli
Prostą i wązką linią — ci wybladli,
Których grobowa nazwa — męczennicy...
Ogień mam dotąd w piersi... Tak się kładli,
U Termopilów, Sparty wojownicy.

Za szańcem trupów, garstka żywych stała,
Dwunastu ludzi było — garstka marna!
A już ich kryła dymów chmura biała,
A ziemia była dysząca i parna,
I bicia serc tych ostatnich słuchała,
Wielka umarłych matka, wdowa czarna.

Do strzału wszyscy stanęli złożeni,
A Christophoris sam stoi u czoła.

On wie, że wodzem jest trupów i cieni,
Że tu nikt śmierci wydrzeć się nie zdoła.
Zachwycił wzrokiem słonecznych promieni:
— Cześć tym, co legli! Prezentuj broń! — woła.

I pod strzał piersią zwróciwszy się hardą,
Śmierć salutuje przed garścią żołnierzy.
Stanęli frontem, ujęli broń twardo,
I — »Cześć umarłym!« po ustach im bieży.
Więc wróg zdumiony tą życia pogardą,
Pod cynglem trzyma ich i długo mierzy.

Błysnęło. Świat się hukiem wstrząsł. Dym siny
Buchnął i wzleciał kłębami białemi...
A kiedy opadł, już z mężnej drużyny
Nie został żaden pomiędzy żywemi.
Wszyscy odeszli do cichej krainy,
Gdzie wojen niema, ni ran, ni nędz ziemi.

I u Dogali stoków, tak jak stali
Pod tą komendą śmierci, tak polegli,
W tej afrykańskiej, czerwonej batalii,
Z drzewca chorągiew zdarłszy, której strzegli,
Broń prezentując, z imieniem Italii
Na ustach, w której ognisk swych odbiegli.

O słońce! Jeśliś ty widziało z góry
Ten wielki cichy skon, te skwarne piaski,

I nie zczerniało kirem żadnej chmury.
Lecz na te trupy rzuciło swe blaski,
Jeśli to prawda, to wskróś tej natury
Nic niema, oprócz zimnej, pustej maski!



PO SZEŚCIU WIEKACH

Nie, ja nie wielbię ciebie, Beatrycze,
Nie jesteś ty mój ideał niewieści!
Boś ty wielkiemu duchowi boleści
Wtedy zjawiła swe słodkie oblicze,
Gdy on się z mroków piekieł już wydźwignął,
I bój zakończył i walkę rozstrzygnął.

Nie poszłaś ty z nim, za dni połowicy,
W on las posępny, gdzie duch szuka drogi,
Nie byłaś światłem dla jego źrenicy,
Gdy ją zwątpienia zaćmiły i trwogi.
Sam się obłąkał w gąszcz dziką i czarną,
Ów wielki tułacz, wyszedłszy z nad Arno.

Ciebie przelękły okręgów tych ciemnie,
Co kaźnią ducha i miejscem są męki.
Może on wołał i wzywał daremnie,
Może napróżno chciał dotknąć twej ręki,
Może cię szukał oczyma przy sobie
W ogromnej pustce i w żywych ciał grobie.

Ciebie ta brama przeklęła swym zgrzytem,
Co jak trumienne zamyka się wieko,
I dzieli kraje podziemne z błękitem,
Z echem pól żytnich i z chatą daleką...
Nie, ty nie poszłaś przez ciemne wierzeje,
Gdzie ten co wchodzi, zostawia nadzieję!

I łódź ta mglista na martwych wód fali,
Co z łez ulane zdrętwiały w swym biegu,
Gdzie każda kropla weschnieniem się żali,
Bez ciebie — smętna — odbiła od brzegu...
Słyszysz ten cichy plusk? To płyną duchy,
Lecz ty im swojej nie dałaś otuchy!

Posępny żeglarz sam przybił do lądu,
Co ciszą krzyczy, milczeniem co woła,
Na puste brzegi przerażeń i sądu,
Skąd Bóg odwołał jasności anioła,
Lecz gdzie się serca zostało świtanie,
Iż jest od śmierci mocniejsze kochanie.

Ciebie przeraził ten wicher, co goni
Na wspólną mękę złączone dwa duchy...
Widzisz tych dwoje, pierś z piersią, dłoń w dłoni,
Jak ich porywa pęd ślepy i głuchy?
O Beatrycze, o lilio niebieska,
Silniejsza nad cię miłością — Franceska!

Ta, gdy jak gołąb żaliła się biały,
Wiesz, czemu pielgrzym, co w piekła szedł cienie,
Choć ścichła burza i wichry omdlały,
A otchłań miała mir i odpocznienie,
Padł, jako człowiek dosiężon złym grotem?
Bo sam bez ciebie był, i wspomniał o tem.

Ogniste mary z palącym się włosem
Przelękły ciebie; nie miałaś ty siły
Iść, aby cierpieć maluczko ich losem...
A te tragiczne otwarte mogiły,
Skąd czarne płomie i dym siwy bucha,
Zawściągły stopę twą, zdrętwiły ducha.

Cofnęłaś krok twój od bagien tych jadu,
Gdzie okowane pracują zmierzchniki,
Gdzie ten co padnie, przepada bez śladu,
Zamknie się nad nim grób, a krzyk ten dziki,
W którym z przekleństwem swój żywot wyzionie,
Pochłoną czarne bezdennych wód tonie.

Tam, gdzie w lodowe wszczepione katusze,
Chłostane biczem śnieżystej zawiei,
Łamią się ciała i łamią się dusze,
Gdzie konających dni blask trupi świeci,
Gdzie dech w szron idzie, a gradem łza pada,
Nie miałaś siły iść, stanęłaś blada.

I tam cię także nie widziano, pani,
Gdzie duchy krzyczą językiem płomieni...
Zdala ty byłaś od owej otchłani,
Co się jak czasza rubinów czerwieni
Męki swej wnętrzem, a z wierzchu jest czarna
I cicha, wielka kostnica cmentarna.

Tyś się przelękła żałobnych tych borów
Gdzie drzewo cierpi gwałt, a gałęź woła...
Tych pomieszanych duchowych kolorów,
Pół potępieńca, a pół archanioła,
Którego Bóg sam w tej kaźni zostawić
Musi, bo przekląć nie może, ni zbawić.

Twych bławatkowych oczu jasność cicha
Nie zeszła gwiazdą w prastarej tej nocy,
Gdzie ciemność bierze kształt, i smętnie wzdycha
Po drogach błądząc, kędy bez pomocy
Konającego szept słychać i głosy,
Od których cierpnie kość i wstają włosy.

Jak wszedł do piekła, tak wyszedł bez ciebie,
Wielki ów piewca jęków, i wieszcz zgrzytów.
A tyś lilią kwieciła na niebie,
I stałaś w modrej jasności błękitów,
Niedosiężona tchem czarnej otchłani...

. . . .

Nie, ja cię wielbić nie mogę dziś, pani!



JAN HUS

I.

— Stoję przed wami i milczę. O sędzie,
Wy nie jesteście dla mnie sądem Boga!
Wiem, już się stos mój dymi, a u proga
Już kipi tłum ten, co mnie wieść nań będzie...
I żadne za mną nie stanie orędzie.
I otworzona już jest wielka droga,
Przez którą lecą skrwawione łabędzie
Do swego Boga...

Stoję i milczę. Gdzież moja obrona?
Gdzie głos, co za mną przemówi tu słowo?
Chrystus też milczy... ach, Chrystus też kona,
A jego wielką i boską wymową
Jest krzyż, i cisza, i głowa skłoniona
Na pierś miłości pełną, a nad głową
Męki i hańby korona...
Stoję i milczę. Cóż powiem, skazany
Za każde czucie, myśl każdą i tchnienie?
Tryumf wam! Tryumf, o rzymskie wy pany!
Obroną moją jest tylko milczenie,

12*

A winą — duch mój, co zerwał kajdany.
Tryumf wam! Oto świątyni sklepienie
Nad głową moją powtarza — skazany!
Na stos! płomienie!

O sędzie! Wiem ja, że pod waszą mocą
Stoję przechodzeń daleki i cichy,
Z krain wolności, które długą nocą
Oddzielił od was kaptur i duch pychy...
Wiem, wasze klątwy świat w pyły druzgocą,
I bezpieczniejszy jest robaczek lichy
Pod moją stopą, niźli ja, o mnichy,
Pod waszą mocą!
Przecież mnie trwoga nie zgnębi, nie złamie,
Bóg zna to serce, i wie że jest czyste.
Próżno, biskupie, wyciągasz swe ramię
I klątwy na mnie wyrzucasz ogniste...
Duch mój nie zaprze swej prawdy, nie skłamie!
On, wolny, silny, w swe skrzydła wieczyste
Bije i z stosu ulata, o Chryste,
Pod Twoje znamię...

Ja już nie kapłan, nie! Już ze mnie zdarto
Szaty, przez które podobny wam byłem!
Grom Rzymu jeszcze pali się nad kartą,
Przez którą będę popiołem i pyłem...
Ale mam duszę nie przez to rozdartą:

Biegu dobiegłem i dzień mój odbyłem,
I widział mnie Pan pod rannych zórz wartą,
I wie jak żyłem.

Lecz w piersi mojej zostało się drżenie
Tej gołębicy, co lata nad gmachem
Kędy jej gniazdo objęły płomienie...
Blednę przed wami nie śmierci przestrachem,
Nie tem, że padnę pod waszym zamachem,
Lecz że na ziemię moją idą cienie,
Że widzę groźnie strzaskane sklepienie
Pod własnym dachem...

Ojczyzno moja! Już idą momenty
I ostateczne tych dni rozwiązanie...
Od Białej Góry gdzieś słyszę tętenty,
I od Taboru bojowych surm granie...
Lud mój okuty, zabity, przeklęty...
Lecz Ty wyciągasz prawicę, o Panie!
Ty Bóg żyjących i wolnych... Ty święty!
Mój lud — powstanie!

Na stos mnie teraz wiedź, rzymski biskupie,
I wy o oczach zapalonych mnichy!
Pójdę — i życia zaparciem nie kupię...
Jak wiązka mirry, tak spłonę wam cichy,
A stos mój dymy odrzuci wam trupie
Na ten świat lichy.

Patrzcie! ptak leci ku słońcu w błękity...
On wolny, w skrzydła swobody on bije!
O ziemio! Ludu! O przyszłych dni świty!
Do was wyciągam ręce, do was piję
Ostatni puhar! Cień jeszcze was kryje,
Lecz stos mój płonie... O Rzymie! Czyś syty?
Ja duch... Ja żyję!...

II.

...Kiedy to było? Ha! Dawno już temu!
W starym, gotyckim, przyćmionym dziś chórze
Wyblakły w szybach anioły i róże,
A słońce, kołu podobne złotemu,
Już się nie kładzie na białym marmurze...
To już tak dawno, tak dawno już temu!

Rzymska purpura nie pała szkarłatem.
Tron i majestat gdzieś w skarbcach zbutwiały,
A złotem szyty biskupi płaszcz biały,
Czas już uczynił próchnem, wiotkim szmatem...
I proch nie został z tych ust, co rzucały
Ogniste klątwy nad światem.

Wszystko już przeszło. Dziś w starym tym tumie
Cisza jest wielka i spokój... Więc czemu,
Podnosząc oczy ku czołu blademu
Skazańca, ciśniesz się wzruszony tłumie?
Czemu tu stajesz i patrzysz w zadumie?
Wszak to tak dawno, tak dawno już temu!

Czyżbyś ty w rzeczy tej martwej, w tej ciszy,
Słyszał jęk ducha, wołania i głosy?
Czyliżbyś mniemał, że dziś jeszcze stosy
Rozgorzeć mogą? Że dziś jeszcze dyszy
Zemstą ten srogi biskup, ten mnich bosy?
Czyżbyś ty słyszał jęk ducha w tej ciszy?

O, bez obawy bądźcie, dobrzy ludzie!
Dziś Torquemada figurę woskową
Oglądać można za skromny grosz w budzie.
Ziemia nie rodzi stosów, jest jałową...
Sobory nudzą Rzym, daję wam słowo!
Więc bez obawy bądźcie, dobrzy ludzie!

A gdyby nawet ten zbór miał tu ożyć,
Choćby wstał biskup, co klątwą dotyka,
Ja wam glejt daję — nie chciejcie się trwożyć!
Dziś Europa już nie jest tak dzika...
Możecie odejść i spać się położyć:
Choćby stos gorzał — skąd wziąć męczennika?



PIEŚŃ ŻYRONDYSTÓW

Na wozie hańby, lecz nie zawstydzeni,
Podnieśmy bracia, i serca i skronie!
Oto ostatni świt nam się rumieni,
Oto ostatnie słońce dla nas płonie.
Jeden nam tylko przenieść jeszcze trud...
    Niech żyje Francya! Niechaj żyje lud!

Kto walcząc ginie na progu swobody,
Kto ją pozdrawia usty milknącemi,
Temu po wiekach cześć dadzą narody,
Tego się imię zostanie na ziemi,
I w sercach synów zbudzi męstwa cud...
    Niech żyje Francya! Niechaj żyje lud!

Za miłość moją pójdę w wielkie boje,
Za wiarę w przyszłość oddam rękę prawą,
Za sprawiedliwość i za dobro twoje,
O mój narodzie, zginę śmiercią krwawą...
I wołać będę czując ostrza chłód —
    Niech żyje Francya! Niechaj żyje lud!

Żegnaj, o słońce! żegnaj kraju miły!
I ty mi żegnaj, złorzeczący tłumie!
Na krwawy szafot, na nasze mogiły
Lud rzuci kwiaty, kiedy nas zrozumie.
Oto już stoim u przyszłości wrót...
Niech żyje Francya! Niechaj żyje lud!



V

PO DRODZE

NA JEZIORZE

I.

NA JEZIORZE.

W zachodu złotą płyniem toń,
Po rubinowej fali,
Nad łodzią naszą ogniem zórz,
Wielka się łuna pali.

Ogromny słońca płonie stos
Na samej nieb krawędzi,
A taka cisza, że bez tchu
Łódź nasza w ogień pędzi.

Z pod róż ucieka, co w jej ślad
Mdlejące sypią liście,
I w płomień leci, leci w żar,
Co bucha tam ogniście.

— Jeżeli na niej gości duch —
Z tych ogniów wyjdzie cało,

Zginie w płomieniach, jeśli nie...
Jeśli ma tylko ciało! —

U rudla stoję, wiosło me
W toń przeźroczystą trąca,
I nie wiem, czy tak serce me,
Czy fala bije drżąca?

I czekam na ten boży sąd,
Na objawienie ducha...
A łódź cichemi pióry mknie,
A stos ogniami bucha.

II.

BARKA.

Na brzegu strojny, gwarny tłum
Roi się w słońca blasku,
Szerokiej fali miękki szum,
Na złotym kona piasku.

Wabiące słówka, młody śmiech,
Nad wodą lecą siną,
I z pluskiem, z szumem nawskróś ech,
W powietrzu modrem giną.

Na każdej piersi kwiecia puch,
Na każdej fali słońce,
A pierś i falę w jeden ruch
Podnosi życie wrzące.

Zdmuchnięta z rannej zorzy mgła,
Srebrzyste gazy winie,

A z najdalszego kędyś tła,
Milcząca barka płynie.

Płynie, i ciężko idzie w toń,
Do burtów, do krawędzi...
Ściągnięty żagiel: silna dłoń
Wiosłem ją tylko pędzi.

Dziwny ładunek dziś na ląd
Do brzegu cicho niesie:
Głaz w niej przy głazie sterczy w rząd,
Jak pnie, w zrąbanym lesie.

Z kamieniołomu, z skalnych ław,
Pod jedną cięte miarę,
Grobowe płyty niesie wpław,
Surowe, proste, szare...

Odarty wioślarz barkę pcha,
Powoli, ciężko, żmudnie...
A róże pachną, a śmiech drga,
A żarem tchnie południe...

I zwraca barka tępy bieg
Z ładunkiem swym cmentarnym
Wprost na słoneczny, kwietny brzeg,
Szumiący tłumem gwarnym.

Chwieją się główki pięknych dam
Na lewo i na prawo:
Chcą dojrzeć, co też płynie tam,
Tą ciężką, płaską nawą?...

I na paluszki drobnych stóp
Wspinają się boginie,
A wiosło rzuca cienia słup,
A barka cicho płynie...

Gdyby odmuchnął lekką mgłę,
Uwianą na błękicie,
Każdyby własne imię swe
Na szarej dojrzał płycie.

I gdyby posłał słuch, jak grot,
Daleko tam, daleko,
Mógłby usłyszeć, jak mu młot
Do trumny zbija wieko...

Lecz któż o śmierci myśleć ma
W rozkosznej tej godzinie?
W płonących różach życie drga,
A barka cicho płynie...

I kopie wiosło grzbiety fal,
W głębokie, czarne rowy,

I z pluskiem jego leci w dal
Miłosny śmiech perłowy.

A wiatr z głębiny zerwał się,
Zakręcił czarne wiry,
I na śmiejące usta tchnie
Kościelnej zapach miry.

I nagły na pierś powiał chłód
Uroczych dam drużynie,
I dziwny cień padł nawskróś wód,
A barka cicho płynie...



III.

U STAREJ TAMY.

U starej tamy zgięci w łęg
Od długiej, ciężkiej pracy,
Od żrących pyłów ślepi wpół
Mocują się biedacy.

Zapadła pierś ich ledwo tchnie,
Pot im zalewa oczy,
Gną się kolana wyschłych nóg,
A każdy głaz swój toczy...

Trzęsą się czaszki łysych głów,
Mdłym, beznadziejnym ruchem,
W schylonych grzbietach trzeszczy kość
Wiązaniem twardem, suchem...

Każdy z nich dźwiga tyleż lat,
Co i ta stara tama,

Jak dawno żyją — tego śmierć
Nie pomni nawet sama.

I ciągną taczki, pęki lin,
Dębowe ciągną tramy,
Umocnić muszą wątły mur
Tej starej, starej tamy...

Lecz próżno sypią gruz i żwir,
I próżno walą kłody,
Z pod rąk im chwyta wartki wir
Zapory i zagrody.

Chwieje się belka, pęka sznur,
Staczają skał odłamy,
Potężna fala rwie się w mur
Tej starej, starej tamy...

A wtedy stoją, patrzą w dal
Swym osłupiałym wzrokiem,
Za tą ogromną siłą fal,
Za tchnieniem wód szerokiem.

Zwiędłe im wargi jakiś dziw
I jakiś lęk otwiera;
I patrzą, patrzą, jak z pod nóg
Woda im ląd wydziera.

Ani w nich skargi, ani słów,
Tylko milczenie samo,
I zadziwione chwianie głów,
Nad starą, starą tamą...

IV.

A FALA PŁACZE...

Zeszły już z toni oczy me,
Rybitwy dwie tułacze,
Co o wód modrość biły się,
W nieukojonych lotów śnie,
A fala płacze...

I już ściągnęłam myśli me,
Więcierze te rybacze,
Co idą ślepo gdzieś po dnie,
I ostrym żwirem ranią się,
A fala płacze...

I płynę cicha, i tam, gdzie
Nawietrzny orlik kracze,
Szukam mej drogi, wracać chcę,
Choć nigdzie, nikt nie czeka mnie,
A fala płacze...

Ani się śpieszę, ani drżę,
Że cudzy brzeg obaczę,
I w szarej, cichej płynę mgle,
Przez szare, ciche wody te,
A fala płacze... płacze...



NA STARYM CMENTARZU

I.

PRZEJRZYSTY LETNIEJ NOCY CIEŃ...

Przejrzysty letniej nocy cień
Pada na cmentarz stary,
Mdlejących kwiatów słodką woń
Mogilne tchną opary.

Strawiła ziemia proch i kość,
I ukojeniem dyszy,
A w koło słychać szepty brzóz,
Co pacierz mówią w ciszy...

Miesięczna pełnia drżący blask
Po starych grobach śnieży,
I srebrnym snopem u mych nóg,
Na wązkiej ścieżce leży...

Splątanych liści błędna sieć
Wskróś jasnej pada smugi,

A na jej białość rzuca się
Cień krzyżów czarny, długi...

Jeden przy drugim stają w rząd,
Nad senną ścieżką razem,
I skrzypią, jakby skarżąc się,
Wyżartem rdzą żelazem...

I leci skrzyp ten, leci zgrzyt,
I wstrząsa groby lękiem,
I brzmi jak dziwny jakiś śmiech,
Urwanym nagłym jękiem.

— Te czarne krzyże, jest ich sześć —
Stara mi babka prawi, —
Na grobach stoją sześciu żon,
Niech Bóg ich duszę zbawi!

Rycerz tu jeden sławny żył,
Co roku sprawiał gody,
Jedna po drugiej żon miał sześć,
A zwał się Sinobrody.

Gadają ludzie tak i tak, —
Boże zachowaj grzechu! —
A to wiadomo, że na śmierć
Łaskotał je do śmiechu.

Na ślubne łoże panią wiódł,
I szyjkę gładził białą,
Całował usta, trefił włos,
Aż wszystko się w niej śmiało.

Więc się jej do stóp giął jak wąż,
Łaskocząc nóżki bose,
Pani się śmiała, śmiała wciąż,
A w oczach miała rosę.

I coraz głośniej buchał śmiech,
Zwyczajnie jak w kochaniu...
Aż rankiem leżał świeży trup
Na łożu, na posłaniu.

Jednę po drugiej sześć ich miał, —
Boże uchowaj grzechu! —
A każdą w pierwszą ślubną noc
Na śmierć łaskotał w śmiechu.

Różnie tam o tem prawił lud,
I wtenczas, i za laty,
Aż wszystko wydał młody paź,
Co sypiał u komnaty.

Mówi, a z jej bezzębnych ust
Cichy się śmiech odzywa,

I z głębi czarnych, wdowich chust
Chwieje się głowa siwa.

W zapadłych oczach płomyk tli,
Twarz jej się barwi blada,
Sto lat już ma, lecz śmierci tej
Byłaby jeszcze rada.

I śmieje się, i patrzy w dal,
I wyschłą czaszką trzęsie,
I jakiś dawny, dawny żal
Drży łzami na jej rzęsie...

A stary cmentarz mogił tchem
Na twarz jej zwiędłą dyszy,
A u wrót szkielet kosę swą
Wydłuża ku niej w ciszy...



II.

Na grobie rycerz z dawnych lat
Z wzniesioną głową stoi,
Na czole hełm, na ręku tarcz,
A pierś zamknięta w zbroi.

Wróżbę on kiedyś taką miał,
Za dnich swych, za żywota,
Że kiedy kośbę skończy śmierć,
Ozwie się trąba złota.

I czeka rycerz wiek i dwa
Wśród śmierci stojąc żniwa,
I słucha w dzień, i słucha w noc,
Czy trąba się odzywa.

I rdza mogilna zjadła miecz,
I hełm wyżarły deszcze,
I w tarczę bije wiatr i śnieg,
A rycerz czeka jeszcze...

I słońce mu wypiło wzrok,
I mchy wyrosły z zbroi,
I pierś pęknięta sypie proch,
A rycerz ciągle stoi...

I słucha w dzień i słucha w noc,
Kamienne czoło wznosi,
A śmierć tuż przy nim chodzi wzdłuż,
I kosi... kosi... kosi...



W WERONIE

Do ołtarza miłości pielgrzymuję cicha,
Płomień niosąc na ustach, a w sercu tęsknotę.
Na drogę moją słońce rzuca róże złote,
W młodocianych winnicach przelotny wiatr wzdycha:
— O Giulia!
Z daleka idę. Brzozy te białe, co stoją
I płaczą w kraju moim, szeptały o tobie.
A słowik, co dziś śpiewa tu, na twoim grobie,
Namiętne pieśni rzucał w bezsenną noc moją,
— O Giulia!
Drogę do ciebie serca wskazało mi drżenie,
I szmery pocałunków w powietrzu uśpionem,
I róża ta, co płonie rozchylonem łonem,
I od skrzydeł gołębich padające cienie,
O Giulia...
Więc tutaj, jak zraniony ptak, tęsknemi loty
Dążyłam, by o kamień oprzeć senną głowę,
I śnić wonie jaśminów, noce księżycowe,
I czuć dreszcze i żary tajemnej pieszczoty,
O Giulia!...

Lecz błagam, chciej przebaczyć samotnej pątnicy,
Że zamiast kwiecia, zamiast weselnego pienia,
Do grobu twego niosę zadumę milczenia,
I czoło pochylone, i żar łez w źrenicy...
O Giulia!...



REN

I.

Z pian, na piany, z tęcz na tęcze,
Przez rozbitych wód obręcze,
Przez odmęty fal,
Łódź się ślizga, chwieje, sunie,
Po śnieżystem, srebrnem runie,
W szumy, w echa, w dal.

Ren odrzuca ją i chwyta,
To w błękity leci wzbita,
Jak na skrzydłach ptak...
To ją złoto — modre pyły,
Jak delfina łuską skryły,
I cisnęły wznak.

Więc zaprzęga fal łabędzie,
Sznury pereł przez krawędzie,
W koło biały puch...
Nagle skała kłami błyska,
W otchłań pędzi, w mrok ją ciska,
W beznadziejny ruch.

Opłyniona snów powodzią,
Nie dbam, co się dzieje z łodzią,
Nie wiem, gdzie jej ster...
Z szumem, z pluskiem przez głębinę
Lotem lecę, pławem płynę
Wskróś błękitnych sfer!

II.

Na skale, w którą bije Ren,
Otchłannym, ślepym gniewem,
Kołysze się, jak biały sen,
Kwiat biały, z wiatru wiewem.

Ani się troszczy, ani wie,
Że śmierć i przepaść dyszy
Tuż pod tą grudką ziemi, gdzie
Chwieje się w rannej ciszy.

I nie wie, że jest żywym tchem
Zaklętej w skale duszy,
Którą daremnie srebrnym kłem
Od wieku fala kruszy.

Że póki skała zdolna kwiat
Z szarości swej wywinąć,
Póki ma oddech w słońce, w świat,
Nie może spaść i zginąć.

I bije grom, i huczy Ren,
I warczy przepaść głucha,
A skała śni swój biały sen,
I kwitnie kwieciem ducha.

III.

Uderzył we mnie huk i szum
Niepowstrzymaną mocą,
Chwycona stoję mrocznym dniem
I widną nawskróś nocą.

Jasność mi szronów bije w twarz,
I śniegi skrawych puchów,
A w koło czuję lot i wiew
Pędzonych w wieczność duchów.

Na drodze stoję, którą wichr
Przestrzenny je rozmiata,
I w gwiezdny, skrzący zbija pył,
Na przyszły posiew świata.

Bronią się duchy... Słyszę krzyk,
Chłostanych srebrnym biczem...
Dosyć już mają śmiechu, łez,
Chcą spocząć, zostać niczem...

Dosyć już mają żądz i walk,
Miłości i nadziei,
Chcąc ujść, chcąc paść, chcą wyrwać się
Z żywota czarnej kniei...

Darmo! Chwycone w bytu sieć,
Rozerwać jej nie mogą,
I z życia w życie, z jęku w jęk,
Wichrową pędzą drogą.

W powietrzu świszczy srebrny bicz,
Po skałach mdleją echa,
A mnie wskróś piersi idzie dreszcz,
A otchłań się uśmiecha...



IV.

Fala w pyły rozbita
Przez szklanne leci sita,
Przepaść do dna odkryta...

W powietrznym łodzi pędzie,
Schylona przez krawędzie,
Widzę co jest i będzie...

W świątyni mrocznej klęczę,
Pęknięte gwiazd obręcze,
Zczerniałe gasną tęcze...

Przepaść w niebo rzucona,
Rozwiązane brzemiona,
Do zórz droga wyśniona...

Morza rozbite w pyły,
Wzburzone ziemi żyły,
Wichrowe nowe siły...

Fal tłumnych biją głosy,
Łez wniebowziętych rosy
Lecą na pól pokosy...

Rozkryte tajemnice,
W kolorach — śmierci lice,
Zrzucone z gwiazd przyłbice...

Proch grobowy odklęty,
W ruch puszczone dyamenty,
Skrysztalone dusz męty...

Kotwic ruszonych zgrzyty,
Łodzie rwane w błękity,
A w koło świty... świty...

V.

Z głazu na głaz, stanęłam na wiązaniu kruchem,
Co dzień od nocy dzieli, i od śmierci życie,
Nad ogromem spienionej przepaści wybuchem...
Podemną huk, i mrocznych skrzydeł nocy bicie.

Przez mchowych gobelinów wilgotne poszycie,
Otchłań warczy i wstrząsa, jak brytan, łańcuchem...
U stóp moich, jej piany, jej gniewy, jej wycie...
Depcę je, chłoszczę wzrokiem, jestem tylko —
[duchem.

Z głazu na głaz zstąpiłam pod wściekłym nawałem
Wód, pędzących na głowę i mnie i otchłani,
Ogłuszona dział śmierci stukrotnym wystrzałem.

I nagle ptaszym piórkiem uczułam się małem,
Daleko uniesionem od cichej przystani,
I drżąc zakryłam oczy... Byłam tylko — ciałem.

VI.

Ocieram czoło z bryzgów. Patrzę, szalejąca
Wód nawała tabunem grzmi przez skalne szczyty,
Dyamentowy pył krzesze jasnemi kopyty,
I grzywy mleczne miecie, i w śnieg je roztrąca.

Gościniec wód zawrotny, perłami wybity,
Malowany bladością srebrnego miesiąca,
Rzuca się... Mleczna droga w otchłań spadająca...
Tabun pędzi, w ślad za nim pędzą jasne świty.

Wiem! To jeździec tragiczny, pianami okryty,
Przelatuje wskróś ziemię, od końca do końca,
I przez noc czasów ciska jutrzenne dziryty!

Wiem! Prometeusz czekał na takiego gońca,
Do skały kaźni swojej łańcuchem przybity...
Białość grzyw jego widział, lecz nie ujrzał słońca!

VII.

Szum i pęd mnie ogłuszył, stu harf słyszę granie!
Huk wojny, walka; z wałów srebrnych biją działa...
Krater pękł i lawina śniegów się wylała,
Pęd orłów... po imieniu wabią się otchłanie.

Wielka symfonja! Fuga ogromna, wspaniała!
Echo stworzenne głosu: »— I niech się tak stanie —«
Śnił ją Mozart, o tobie myśląc, Don Juanie,
I »Requiem« nasłuchując, gdy mu je śmierć grała.

Dziw! Wskróś tego chorału przepaści i bezdna
Słyszę w dali stłumione, echowe odgłosy,
Jakie niesie ze sobą noc cicha i gwiezdna...

Słyszę, jak szepcą trawy w łąkach nawskróś rosy,
Jak pod wozem żniwiarzy skrzypi droga jezdna,
Jak wiatrem rozechwiane na łanie drżą kłosy...

VIII.

Znam cię, falo, pod niebo zuchwale rzucona
I spadająca w otchłań wieczystej niemocy!
Z pian twoich widne dla mnie milionów ramiona,
I pęd duchów ku słońcu, i zwycięstwo nocy!

I w huku twoim słyszę ogromne imiona:
Prometej, Grach, Spartakus — narodów prorocy,
Mężowie czuciem wielcy i myślą wysocy...
Imię nad ziemią zabrzmi okrzykiem, i kona.

Lucifer! I twych skrzydeł pęd słyszę ogromny,
Po przepaściach lecący, na hymny rozbity,
I widzę potępione promienie twej głowy!

Jehowa chciałby zasnąć, uciszyć błękity,
Lecz ty, Strącony, światłem walisz się przez szczyty,
W locie swym i w swej klęsce wiecznie świeży,
[nowy.



SPIS RZECZY.



IV. Mojżesz.

V. Po drodze.



